

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 19 marca 1950 r.

Nr 11 (242)



HENRYK WORCEL WŁADYSŁAW MACHEJEK STEFAN TURNAU ZBIGNIEW KWIATKOWSKI

O T R Z Y M A L I

PIERWSZE KOLEJNE NAGRODY
NA KONKURSIE TYGODNIKA »WIEŚ«

ZA

»REPORTAŻ O WSI«

Jury »Konkursu na reportaż o wsi« (ogłoszonego w Nr 46 (225) tygodnika »Wies« z dnia 13 listopada 1949 r. w składzie:

WŁADYSŁAW KOWALSKI, LUCJAN RUDNICKI,
MARIAN JAWORSKI, WANDA MARKOWSKA, STEFAN ATLAS,
STANISŁAW WYGODZKI, PIOTR GRENIUK, WŁADYSŁAW OZGA,
JAN ALEKSANDER KRÓL, ANNA KAMIENSKA,
MARIA ŻMIGRODZKA, LEONARD SOBIERAJSKI,
WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

na posiedzeniu w dniu 8 marca 1950 r. spośród prac nadesłanych na konkurs w terminie do 15 stycznia 1950 r. przyznało nagrody pracom następującym:

I Rewolucja w Guranowie,	godło — „Osadnik Głaz“
II Socjalistyczna załoga PGR-u	godło — „Chyszów“
III Po wyboistej drodze - naprzód!	godło — „Szary dzień“
III Nowe	godło — „Siódmy list“

JURY OCENIAJĄC POZYTYWNE PŁON KONKURSU I MAJĄC NA UWADZE JEGO DUŻE ZNACZENIE DLA ROZWOJU NOWEJ LITERATURY, POSTANOWIŁO UTRZYMAĆ WYSOKOŚĆ NAGRÓD ZAPOWIEDZIANYCH PRZY OGŁOSZENIU KONKURSU. JEDYNIĘ TRZECIA Z NICH ROZDZIELONO NA DWIE PRACE, KTÓRE W WYNIKU GŁOSOWANIA OTRZYMAŁY JEDNAKOWĄ ILOŚĆ PUNKTÓW.

Po otwarciu kopert okazało się że autorami nagrodzonych prac są:

I Nagroda 200.000.—

HENRYK WORCEL — „Rewolucja w Guranowie“

II „ 150.000.—

WŁADYSŁAW MACHEJEK — „Socjalistyczna załoga PGR“

III „ 75.000.—

STEFAN TURNAU — „Po wyboistej drodze naprzód!“

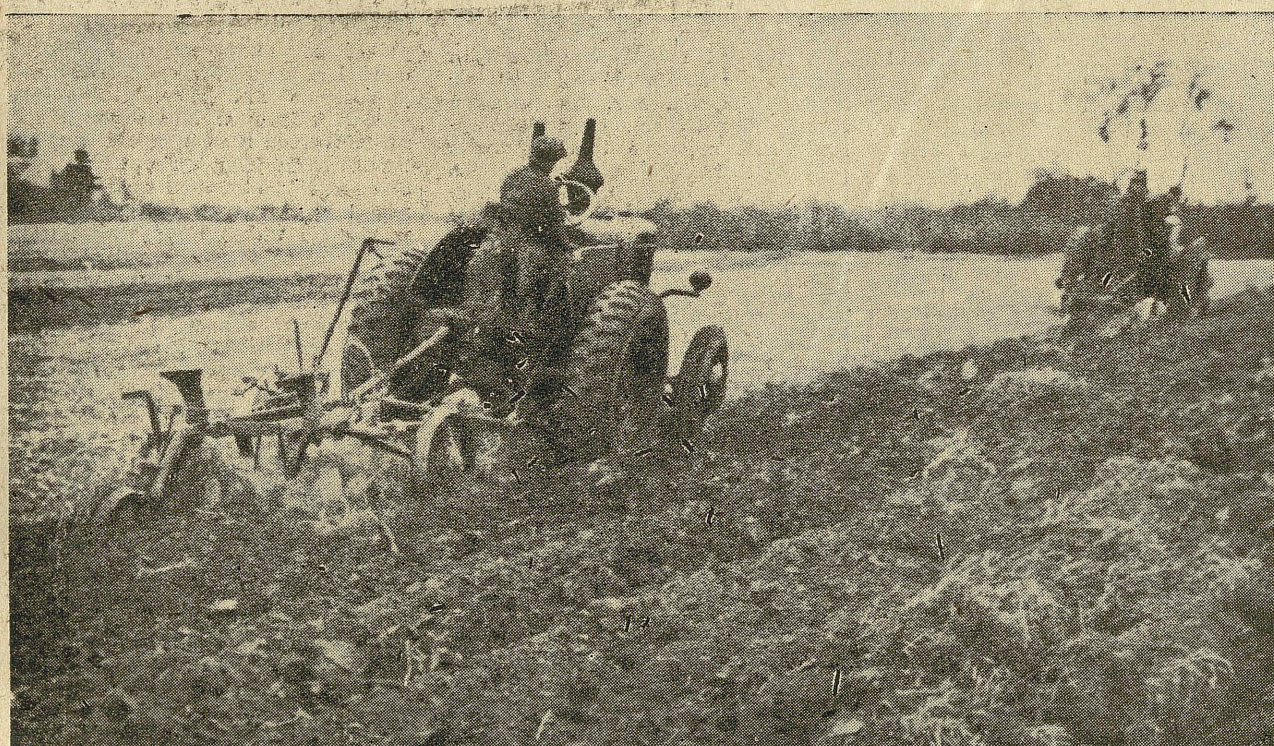
III „ 75.000.—

ZBIGNIEW KWIATKOWSKI — „Nowe“

Z 238 prac jakie wpłynęły na konkurs poza nagrodzonymi głównymi nagrodami wyróżnionych zostało do dalszych nagród 45 prac. Lista tych prac i nagród zostanie opublikowana po zwołaniu drugiego posiedzenia Jury w najbliższym numerze „Wsi“.

JURY KONKURSU

O terminie rozdania nagród Redakcja poinformuje uczestników konkursu



ZDJĘCIA Z MŁODZIEŻOWEJ SPÓŁDZIELNI PRODUKCYJNEJ BORATYŃ (PRZODOWNICA, ORKA, W ŚWIETLICY) ILUSTRACJE DO PRACY KONKURSOWEJ PT. „AWANS JÓZKA BUCHAŁY“ GODŁO „BORATYŃ“.

(Fot. St. Dziubiński)

WITOLD ŁUKASZEWICZ

STANISŁAW GABRIEL WORCELL NA TLE EPOKI

„Jako żurawie, co łańcuch
prowadzą,
Świetniejsze serca wylatują
przodem.
Umra — ich duchy lecą przed
narodem,
Ich wrzask, ich linie, ich łament
— to hasła”.

Juliusz Słowacki

I. DZIECIŃSTWO

Stanisław Gabriel Worcell urodził się 26 marca 1799 r. w Stepaniu nad Horyniem na Polesiu Wołyńskim jako syn Stanisława Grzegorza, podstolego W. Lit. właściciela miasta Stepania i 23 wsi, z 7130 poddanych chłopów i Anny Tepperówny, córki słynnego bankiera warszawskiego z czasów Stanisława Augusta. Ród Worcellów był niemieckiego pochodzenia. W Polsce zjawiał się za Sasów a jego polskim protoplastą miał być hr. Wurzel von Timmerstein, nobilitowany jako von Worcel.

Worcellowie szybko polonizowali się wiażąc się z okoliczną szlachtą folwarczną przez ożenki, a jednocześnie powiększali przez posagi i własną zapobiegliwość gospodarczą swoją fortunę. Stanisław Grzegorz, ojciec naszego bohatera, osiadł w Stepaniu i zamienił na wspaniałą rezydencję magnacką, do czego przyczyniła się w dużym stopniu jego pierwsza żona, Dukianna Morawska, spokrewniona z Radziwiłłami. W Stepaniu było dworno i wesoło, hucznie płynęło życie, bawiono się i pito na umór. Nie trwało to wszakże długo: małżonkowie się rozeszli. Stanisławowi Grzegorzowi Worcellowi pozostało z tego małżeństwa dwu synów: Ignacy i Mikołaj.

Około 1796 r. Stanisław Grzegorz Worcell ożenił się z Anną z domu Tepper, rozwiedzioną z Wołodkowiczem. Druga żona nie miała usposobienia do hucznych zabaw, lubiła życie ciche, skromne. Nie wniosła ona Worcellowi dużego posagu, ponieważ ojciec jej zbankrutował jako bankier. Nie była to też kobieta pierwszej młodości, a tymbarczyła urody. „Pani Worcellowa — pisze o niej Mikołaj Jelowiecki, biograf St. Gabriela Worcella, jej syna — była już w wieku, w którym wdzięku opuszczała, lecz miała cnoty, nagradzające socie brak piękności, wychowanie wyborne, rozum wielki i uprzejmość dla wszystkich niewyčerpaną... pełną znajomości świata” (cyt. z Limanowskiego: St. Worcell, Kraków 1910, str. 4). Z tego to małżeństwa przyszedł na świat w marcu 1799 r. Stanisław Gabriel Worcell, którego działalność zajmujemy się obszerniej w niniejszym artykule. Rodzice Worcella nie należeli do przeciętnych w swoim środowisku wśród bogatej szlachty folwarczej graniczącej społecznie z magnaterią: Radziwiłłami, Lubomirskimi, Czartoryskimi. Ojciec powszechnie szanowany dla swej uczciwości i gościnności — należał do światłościę obywateli swego czasu. Podczas Sejmu Czterolletniego popierał stronnictwo reformy, a gdy ogłoszono Konstytucję 3-go Maja 1791 r. zawarł on 28 maja t. r. układ z gromadą znośnicą, „chcąc dopełnić sprawiedliwości dla wszystkich poddanych”.

Nadał on chłopom „przywilej wolności i własności gruntów” — opisaławszy powinności, daniny i opłaty należne od każdego gospodarza i pozostawił do wyboru albo płacenie ich w formie czynszu, albo odrobok — pańszczyzny, przy czym pozwalał opuszczać grunt po pozostawieniu go w należytej porządku bądź odprzeżdżać jego użytkowanie innemu chłopu. Była to rzecz znowu, niezbyt wielka ulga dla poddanych chłopów znosiących, a szumny przywilej „wolności i własności gruntów” — bliżej bardzo w zastosowaniu praktycznym — mimo to w okolicy powstał rumor znaczny i podniósł jeszcze bardziej reputację rodu Worcellów.

Drugi rozbiór Polski (1793 r.) przyniósł w następstwie włączenie Wołynia do Rosji, klucz Stepański znalazł się pod panowaniem Katarzyny II, która starała się zjednać dla siebie szlachtę polską w krajach zabranych jako społeczna podporę dla swego samowładztwa, zatwierdzając i rozdając tytuły hrabiowskie i wzmacniając feudalny ustrój agrarny. Worcellom zatwierdzono także niemiecki tytuł hrabiowski. Lelelew nazywał tych porobitwowych hrabiów z łaski zaborców „kwiatami, Wyrosłymi na grobie matki Ojczyzny” — Inaczej że rzecz traktowała kresowa szlachta. Dla niej tytuł hrabiowski był wykładnikiem wpływów i pozycji społecznej oraz majątkowej.

W okresie gdy w sąsiedztwie Wołynia tworzył Napoleon Księstwo Warszawskie, młody Worcell miał 9 lat i znajdował się pod silnym wpływem matki. Matka jego była kobietą bardzo religijną. Nie więc dziwnego, że jej syn przejął się religijnością umiłowanej matki, spowiadał się co tydzień, czytał książki religijne, skazywał siebie na rozmaite umartwienia, pisał do matki listy pełne mistycznej religijności. Żył matką i dla matki.

Wpływ tych dwójka osób sprawił, że jednym pragnieniem Stasia, które żywił przez kilka lat, było zostać zakonikiem i poświęcić się służbie Bożej. Na szczęście znalazł się człowiek, który temu przeszkodził i wyrwał podrastającego chłopca spod wpływu mistycznej-klerykalnego, kierując edukację Stasia i jego przyrodniego brata Mikołaja na właściwe tory. Był nim gubernier młodych Worcellów, Francuz Galle, człowiek wykształcony na filozofii racjona-

stycznej, umysł trzeźwy, wolteriański, holdujący społeczno-politycznym hasłom burżuazyjnej Wielkiej Rewolucji. Był on uzdolnionym matematykiem i przyrodnikiem, starał się więc przede wszystkim rozbudzić w Stasiu zamiłowanie do nauk ścisłych, nauczyć go jasności wyświawiania się, rozwinąć nadto w nim nieprzeciętne uzdolnienia do rysunków. Nie zaniedbywał przy tym i innych nauk jak: literatury pięknej i historii, kładąc szczególny nacisk na gruntowne poznanie dorobku literacko-publicystycznego walczącego o obalenie feudalizmu burżuazji francuskiej. W czternastym roku życia zakończył się pierwszy etap edukacji, Stanisław Gabriel Worcell przybył w r. 1814 pod opieką Galle'a do Gimnazjum Krzemienieckiego na systematyczne studia, które kontynuował przez lat pięć z chlubnym wynikiem.

2. NA REWOLUCYJNEJ FALI

Gimnazjum, a następnie Liceum Krzemienieckie, miało ogromne znaczenie w dziejach oświaty naszego narodu. Oparte na światłych wskazaniach pedagogicznych i naukowych swego założyciela Tadeusza Czackiego i jego doradcy Kollataja było małym uniwersytetem dla całej Rusi. Krzemieniec — Ateny Wołyńskie — wydał wybitnych postępowych poetów jak: Słowacki i Maurycy Gosławski; historyków, matematyków (z których słynął), a przede wszystkim zastęp patriotycznych działaczy spiskowych (Worcell, Józef Wysocki, Antoni Baupré, Piotr Borowski i inni). Gimnazjum Krzemienieckie, w którym zgodnie ze wskazaniami Czackiego i Kollataja położono nacisk na nauki matematyczno-przyrodnicze oraz humanistyczne (prawo, historia, literatura klasyczna i polska, języki nowożytne) kształciło swych uczniów wszechstronnie i solidnie, przygotowując do życia w trudnych warunkach politycznej niewoli. Z Krzemienia wychodzili nie tylko świetni matematycy i chemicy, literaci i historycy, ale przede wszystkim postępowo myślący działacze — patrioci. Wielki wpływ na młodzież wywierał profesor Michał Choński, wykładowca prawa natury, prawa publicznego i narodów, ekonomii i statystyki, zapalony zwolennik obalenia feudalnego ustroju agrarnego i wprowadzenia pełnego usamowolnienia i uwłaszczenia chłopów. Obok niego działał szczególnie umiłowany przez młodzież zakładator historii powszechnej — Józef Uldyński, demokrat i republikanin z przekonań. Był on podobnie — jak Lelelew w Wilnie — ojcem duchowym patriotycznego ruchu młodzieży krzemienieckiej. Worcell przyjął całą duszą do Uldyńskiego, poobit Chońskiego, słowem jak większość jego kolegów szkolnych stanął po stronie postępu i patriotyzmu przeciw despotycznemu samowładztwu i służalstwu.

Jako zdolny i pilny uczeń szybko dał sobie radę z dość obszernym, jak na możliwości młodzieńca, programem nauk, przechodził regularnie na kursu na kurs, otrzymał kilka wyróżnień za postępy, opanował wybornie matematykę, rysunek, prawo i historię oraz język francuski i wydoskonalił się w języku ojczystym. Przyjął się z Janem Ordynem, Tomaszem Padurą, Smokowiczem, Józefem Korzeniewskim i Ruessem Wątróbką. Nadawali oni kierunek patriotyczny ośrodkowi młodzieżowemu Krzemienieckiemu. Jan Ordyn był prezesem Towarzystwa uczniów ćwiczących się w porządnym mowie i pisanu po polsku, do którego przyjęto również Worcella 9 lutego 1820 r. Literackie kółko krzemienieckie zajmowało się nie tylko dyskusowaniem nad literaturą i wydawaniem własnych utworów poetyckich. Było ono również ważnym ośrodkiem polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego, utrzymywało kontakty spiskowe z tajnymi związkami młodzieży, przede wszystkim z wileńskimi Filomatami, nadto współpracowało z wileńskim Towarzystwem Szubrawców, składającym się z liberalnej inteligencji szlachecko-burżuazyjnej pod przewodnictwem prof. Uniwersytetu Jędrzeja Śniadeckiego, działającego pod literackim pseudonimem Sotwarosa. Towarzystwo Szubrawców w Wilnie wydawało głośno na całej Litwie i Rusi „Wiadomości Brukowe” (od 1817), w których chłostano niemiłosiernie wady narodowo-staro-szlacheckie, wysmiewano kulturowy kler, natomiast domagano się zniesienia poddaństwa i pańszczyzny.

W początkach 1820 r. powstała za staraniem kilku starszych kursistów Liceum Krzemienieckiego filia Towarzystwa Szubrawców w Krzemieniu pod dziwną nazwą grecka heauton-timoru-menos (dąsających się na siebie), którego członków w skróceniu nazywano żartobliwie „menyrosami”. Worcell został prezesem krzemienieckiego Szubrawców i rozwinął swą działalność publicystyczną w wileńskich „Wiadomościach Brukowych” pod pseudonimem Gryzmiara Tukana. Artykuły Worcella wyśmiewały głupe społeczeństwo krzemienieckie, głównie owczy jej pęd za wszystkim co cudzoziemskie, francuskie lub włoskie. Wywoływały one gromy potępienia na młodego arystokratę, który ośmielił się oczerznić własne gniazdo społeczne — latyfundiów i folwarcznych feudalów obojga pól. Zabawa w burawstwo nie mogła wszakże zaspokoić pragnień patriotycznych Worcella i podrastającego pokolenia młodzieży polskiej na Litwie i Rusi. Od zachodu Rosji przychodził silny wręcz rewolucyjny, który ogarnął swym zasięgiem ziemie polskie i wrzepał je do walki z absolutyzmem i reakcją św. Przymierza w imię re-

wolucyjnego braterstwa uciemiężonych ludów. Prawdą temu było na imię — karbonyzm albo w polskim brzmieniu — węglarstwo. Pod jego wpływem młodzież wojskowa, szkolna i uniwersytecka tworzyła ściśle zakonspirowane związki rewolucyjne, ożę papierowy przekuwając na sztylę, by zatopić go w piersi władców — tyranów. Poznajmy bliżej ten ruch i udział w nim Stanisława Worcella w latach 1820 — 1825.

Karbonyzm był tajnym rewolucyjnym ruchem międzynarodowym, który w pierwszych trzech dekadach XIX w. ogarnął sieć konspiracyjnych organizacji szereg krajów europejskich i pomimo, iż w każdym z nich dążył do innych celów, wszędzie uprawiał politykę zdecydowanego przeciwdziałania despotyzmowi i reakcji. W krajach ujarzmionych, jak Polska, przybierał cechy ruchu narodowo-wyzwoleńczego, w państwach niepodległych ale ściśniętych obróżą politycznego systemu Świętego Przymierza — wysuwał hasło demokratycznej konstytucji i reform społeczno-gospodarczych mających ułatwić pełny rozwój kapitalistycznych stosunków produkcji. Najsilniejszy w Italii, gdzie była jego kolebka, wypłastowany tam podczas okupacji napoleońskiej, która zwałował, karbonyzm włoski przyniósł po upadku Napoleona swe odium na legitymistyczny, powied-

stemu autokratycznemu i policyjnego św. Przymierza, które obalili Napoleon. Stąd rodziło się wzajemne zbliżenie polskich i francuskich kół rewolucyjnych. Młodzież polska zaburzyła rosyjskiego i pruskiego, pełna uwielbienia dla Kościuszki i Dąbrowskiego, pragnęła wolności politycznej, żyła książkami Rousseau i Woltera, śpiewała sankiulocką pieśń „Ca ira”, zachwycała się republikanizmem Konwencji i Robespierrem, entuzjastycznie się Babeufem, a jednocześnie rozpyłyła się w fantazjach Schillera, Waltera Scotta, Byrona; łączyła więc racjonalizm rewolucyjny z rewolucyjnym romantyzmem. Wskazywała się pilnie w echa karbonyzmu rewolucyjnego neapolitańskiego (1820), przykładała liberalnej opozycji szlacheckiej braci Niemcewiczów na sejmach Królestwa Polskiego, poddawała się moralnemu wpływowi karbonyzmu — naukowców, jak Lelelew w Wilnie i Uldyński w Krzemieniu, poetów — jak Wacław Potocki i Adam Mickiewicz — co jej prawili o wolności, zawieszano nad łózkami portrety straconego przez meternichowskich śpiących karbonyzma niemieckiego — studenta Sanda. Car Aleksander I po zjazdach św. Przymierza stracił u tej młodzieży na swej liberalnej reputacji, stając przed Polakami i własnym narodem w szacie autokratyzmu i reakcji.

Paryż stał się Mekką ogólnie-



STANISŁAW GABRIEL WORCELL
(26.III 1799 — 3.II 1857)

ski porządek (1815) i jego żardarma w Europie — Święte Przymierze.

Karbonyzm rozrósł pronaunciamiento (rewolucję) włoskie w Państwie Kościelnym (1817), w Neapolu (1820) w Piemencie (1821) — zgnięcie przez zbrojną interwencję Metternicha (austriacką), uplanowaną na kongresie despotycznych władców św. Przymierza w 1821 r. w Lublinie. Kraje włoskie przynęciły but metternichowskiej reakcji. Po tych niepowodzeniach centrum kierownicze karbonyzmu włoskiego przeniosło się z Neapolu do Genui i poddało się pod wpływ Filipa Buonarrotiego, uczestnika Spisku Równych (1796 — 7). Karbonyzm włoski otrzymał dzięki Buonarrotiemu mocniejsze akcenty rozbijania i bawelizmu. Za wzorem karbonyzmu we Francji, Hiszpanii, Szwajcarii, w państwach Rzeszy Niemieckiej (jako Burschenschaft), sięgnął na ziemie polskie w trzech zaborach, znalazł nawet swoiste próby naśladowstwa w carskiej Rosji pod postacią spisku dekabrystów (1825 r.). Konspiracyjne związki karbonyzmu operano zwykle na legalnie działającej masonerii, a to dla zmylenia czujności policji i stosowanym najczęściej trójstopniowym systemem wtajemniczenia. W taktyce konspiracyjnej stosowano dwa sposoby postępowania: tajny i jawny. Ośrodek — jądro kierujący całokształtem konspiracji karbonyzmu typu był ściśle zakonspirowany, otaczający go organizacje legalne pozorne apolityczne, naukowe, towarzyskie, których członkowie nie wiedzieli poza parę wtajemniczonych, że przynależą do ośrodka tajnego-rewolucyjnego. Według tych zasad spiskowych formowano związki karbonyzmu na ziemiach polskich, głównie w Poznaniu, w Królestwie Polskim, na Litwie i Rusi. Polscy karbonyści rekrutowali się ze środowiska akademicko-gimnazjalnego i z wojskowych — b. legionistów Dąbrowskiego. Legioniści przynieśli jako pierwsi na ziemie polskie włoskie wzory karbonyzmu. Świetny okres Cesarstwa zatarł wśród najbardziej republikańsko i antybanpartystyczny nastrojów legionistów niechęć do Napoleona, który urosł w złudnej wyobraźni Polaków do symbolu bojownika za sprawę Polski, chociaż walczył wyłącznie w interesie burżuazji francuskiej. Po upadku Napoleona, w dobie pokongresowej, zwłaszcza w l. 1815 — 1830, w opinii polskiej „Napoleonizm” znaczył to samo prawie co patriotyzm — jak to przyjął ówczesny historyk i spiskowiec — karbonyz Teodor Morawski. Napoleonizm udzielił na całe życie popularności na ziemiach polskich, był on także popularny wśród młodzieży wojskowej i akademickiej francuskiej, bo utożsamiał się w tych obu krajach z dążeniem do obalenia sy-

stematu autokratycznego i policyjnego św. Przymierza, do niej więc podążała różnymi drogami pozornie dla studentów i młódz polska: szlachecka i mieszczańska, by po powrocie posłać na ziemie ojczyste zarzewie buntu przeciw obecnej przemocy, w l. 1817 — 1821 powstały, rozwinęły się i uległy scentralizowaniu w jednym ośrodku dyspozycyjnym — Narodowym Patriotycznym Towarzystwie mjr. Waleriana Łukasiewskiego i Kazimierza Machnickiego wszystkie parakarbonyzmu i karbonyzmu związki spiskowe na ziemiach polskich, między innymi Filomaci wileńscy ze swymi organizacyjnymi podbudówkami (Promienici, Filareci, Filadelfiści) oraz tajne loże powstałego 3.V.1819 r. Wolnomularstwa Narodowego (Łukasiewskiego), bazowane pod osłoną legalnie działających loż masonskich prowincjonalnych i symbolicznych, kierowanych przez Wielki Wschód Warszawski. Loże Łukasiewskiego w przeciwnieństwie do legalnej masonerii, posługując i pokorne wobec władzy państwowej zaborczej, miały charakter spiskowy i cel narodowo-wyzwoleńczy. Stanowiły one etap przejściowy do uformowania w pełni antrajnej ogólnopolskiej organizacji karbonyzmu — Narodowego Patriotycznego Towarzystwa, które od r. 1821 miało ze zmiennym powodzeniem reprezentować na terytorium dawniej Rzeczypospolitej polski patriotyczny rewolucyjny, utrzymując rewolucyjne kontakty z karbonyzmem francuskim, niemieckim, włoskim i rosyjskim (dekabrystami) i współdziałając ściśle z europejską centralą karbonyzmu w Paryżu.

Wyślaniec Łukasiewskiego, Józef Gruźewski, w porozumieniu z Michałem Romerem zaszczerpił myśl niepodległościową w legalnych lożach masonskich na Litwie, zakładając w nich tajne kółka Wolnomularstwa Narodowego; Ludwik Sobanski i Michał Balański zrobili to samo w masonerii wołyńskiej. Na Wołyniu w 1821 r. były cztery loże, dwie w Dubnie, jedna w Ostrogu i jedna w Rafałowie, należące do hrabiów Orlazów, przyjaciół i sąsiadów Stanisława i Mikołaja Worcellów. W wielkiej loży dubieńskiej p.n. „Dokonała tajemnica”, która była lożą prowincjonalną, a więc wyższą, mistrzem katedry był hr. Narcyz Olizar, jalmuznikiem Mikołaj Worcell, sekretarzem Stanisław Worcell. W loży symbolicznej Worcell był mówcą, jego brat przyrodny Mikołaj — drugim dozorcą. Były to wysokie szczeble w hierarchii masonskiej, a St. Worcell podpisywał się jako brat w trzecim stopniu wtajemniczenia. Loża prowincjonalna w Dubnie, jak i podległa jej w Rafałowie, znajdowały się całkowicie pod wpływami Wolnomularstwa Narodowego i działały niezależnie od Wielkiego Wschodu Warszawskiego.

Z chwilą powstania tajnego Narodowego Patriotycznego Towarzystwa w maju 1821 r. z siedzibą Komitetu

Centralnego w Warszawie — Wolnomularstwo Narodowe przekształciło się w ściśle patriotyczny spisek, oparty na organizacji karbonyzmu, które zamieniono na gminy, skasowano stopniowanie masonskie, wprowadzając równość między członkami. Spisek obejmował organizacyjnie sejm prowincji: wojsko, Królestwo Kongresowe, Poznańskie, Litwę, Wołyń, Rzeczpospolitą Krakowską i Galicję. Prowincje dzieliły się na okręgi, a te na gminy. Spiskowcy płacili określony podatek na cele organizacyjne i zajmowali się propagandą patriotyczną dla przygotowania powstania. W sprawie chiłpolskiej Narodowe Patriotyczne Towarzystwo nie miało ustalonego programu, część tylko jego członków żądała usamowolnienia i uwłaszczenia włościan. Ta niedocytowana postawa Towarzystwa w najwazniejszej sprawie społecznej — była następstwem klasowego, szlacheckiego składu organizacji i jego kierownictwa, które ruch spiskowy opierało głównie na szlachcie i nie chciało jej odstraszać, poruszając sprawę chiłpolską. Ludwik Sobanski i Marcin Tarnowski — emisariusze Komitetu Centralnego Towarzystwa na Rus — pokryli ją siatką gmin i obwodów. Mikołaj Worcell został mistrzem obwodu rówieńskiego, Stanisław Worcell czynnie mu w tej pracy pomagał, przekształcając tajne komorki Wolnomularstwa Narodowego w loży dubieńskiej „Dokonała tajemnica” i rafałowskiej „Cnota uwieczniona” — na gminy Narodowego Patriotycznego Towarzystwa. Rząd carski, wyczuwając robotę spiskową — karbonyzmu w legalnych lożach masonskich, wykrył je w Królestwie Polskim we wrześniu 1821 r., a w r. następnym na obszarze Rosji, a więc na Litwie i Rusi (13.VIII 1822). W maju 1822 r. aresztowano w Warszawie mjr. Łukasiewskiego, Machnickiego i kilku innych przywódców Towarzystwa. Rozpoczęły się męczące, okrutne dochodzenia, ale organizacja nie zdekonspirowana, wyszła tylko na jaw istnienie Wolnomularstwa Narodowego. Wiele spiskowców opuściło szeregi Towarzystwa — Stanisław Worcell i jego brat Mikołaj pozostali, działając nieustraszenie na Wołyniu.

3. POWSTANIE

Narodowe Patriotyczne Towarzystwo nie rozłączało się po uwięzieniu Łukasiewskiego, pracę spiskową pokierował ppłk. Krzyżanowski, nadając jej jeszcze większy rozmach niż dotąd. Na Rusi spiskowcy polscy spotkali się z rosyjskimi karbonyzmi — ze Związkiem Południowym Dobra Publicznego (Sojuz Blahodienstwiia) ppłk. Pawła Pestela (późniejszego dykabrystami). Spiskowcy rosyjscy, zwłaszcza ze Związku Południowego, szukali porozumienia z polskimi dla stworzenia wspólnego frontu celem obalenia caratu i wyzwolenia obu narodów z jarzma despotyzmu. Stanisław Worcell był współnikiem tych zamiarów wolnościowych polsko-rosyjskich. Worcell w r. 1834, w ósmą rocznicę kaźni carskiej nad dekabrystami, tak mówił o tym wspólnym programie rewolucjonistów polskich i rosyjskich: „Panowanie ludu w każdym z tych krajów miało zastąpić panowanie tyrańca i wspólny węzeł miał połączyć w jedną wielką federację narody szczepu słowiańskiego”. Spotkania spiskowców polskich i rosyjskich odbyły się 3 razy: w 1824 i 1825 r. w Kijowie oraz w sierpniu 1825 r. w Żytomierzu. Ze strony rosyjskiej występowali Murawiew Apostoł, Rylejew i Pestel, ze strony polskiej książę Jabłonowski i hr. Mozyński. O porozumieniu się byli poinformowani obaj Worcellowie: Mikołaj i Stanisław. 26 grudnia 1825 r. w dniu, gdy miało się odbyć przysięgę wierności nowemu carowi Mikołajowi I, nastąpił wybuch wojny w Petersburgu, a jednocześnie podniósł na Ukrainie chorągiew walki z caratem Sergiusz Murawiew Apostoł. Powstanie zduszone krwawo, winnych spisku powieszono w lipcu 1826 r. bądź posłano do katorgi. W śledztwie natrafiono na ślad istnienia Narodowego Patriotycznego Towarzystwa. Zdradca książę Jabłonowski odkrył dla uniknięcia kary i konfiskaty majątku nie tylko spiskowców karbonyzmu. Poszły w ruch kibitki, uwięziono przywódców Towarzystwa na Rusi, między nimi i Mikołaja Worcella. Po dreczącym śledztwie wysłano go po pozabawieniu szlachectwa w „soidaty” jako szeregowca na Kaukaz. Stanisław Worcell uniknął aresztowania. Zdrada nie polczyła go wśród swych ofiar.

Likwidacja dekabrystów i rozbicie Narodowego Patriotycznego Towarzystwa w r. 1825 stanowiło końcowe ogniwo w prowadzonej przez św. Przymierze akcji przeciw karbonyzmu w Europie Wschodniej po jego zduszeniu w latach 1821-2 we Włoszech, Rzeszy Niemieckiej, Francji i Hiszpanii. W roku następnym w Wilnie i Krzemieniu, likwidując karbonyzmu ośrodki Filomatów i Filaretów, a ich uczestników skazał na zsyłki i w „soidaty”. Nad Litwą i Rusią pałką zandarską dzierżyła niepodzielna władza. Triumfował Mikołaj Pałkin, krwawy samodzierżca. Zamario życie spiskowe, szlachta folwarczna bała się własnego cienia, niedobitki szlacheckiej patriotycznej młodzieży, wychowankowie Wilna i Krzemienia, oczekali na nowy sygnał z Królestwa. Tam młodzież spiskowa nie dała za wygraną caratowi, tam nadal działały ognia spiskowe, gotowano się do powstania. Z nad Sekwany powiało nadzieję, francuscy karbonyści, odrodzeni, stanęli w upale dnia lipcowego 1830 r. na barykadach, obalili tron Karola X, podpieranego przez ziemiaństwo i bankierów

wynieśli wbrew własnej woli Ludwika Filipa ks. Orleńskiego, rzeźnika interesów francuskiej burżuazji. Bojowy śpiew „Marsylianki” przylguszyło hasło, hasło króla barykad: „bogaćmy się”, Carat szczykował się do interwencji zbrojnej, do marszu nad Sekwanę w imię interesów pacyfikacyjnych św. Przymierza. Nad Wisłą srożył się carski pełnomocnik Nowosilow i szalał cham w mitrze książęcej — W. Książę Konstanty; zacięła się na szyl Królestwa Polskiego obręcz fiskałna i policyjna. Młodzież wojskowa nie mogła dłużej wytrzymać, poszła na Bielweder i na koszarach załogi carskiej, lud warszawski sięgnął po broń w Arsenale. 23 listopada 1830 r. Warszawa stanęła w ogniu walki. Zaczęło się szlacheckie powstanie, „rewolucja konserwatywna”, wyrosła z egoizmu i ograniczonej politycznej klasy szlacheckiej — jak ją określił Fryderyk Engels. Skoro wypędzono z Warszawy załogi fiskałne i policyjne, Magnateria i szlachta folwarczna, wsparte na swoich generałach, prowadzili „konserwatywną rewolucję” w interesie faworków i plebanii, ściągając świadomością bazy społecznej a nawet terytorialną ruchem i szukając kompromisu z caratem. Organy kierujące powstaniem z ramienia tej szlachty i dyktatora Chłopskiego i Rząd Narodowy, Sejm zmarowały zbrojny brzy młodzieży spiskowej i przegrały z jej caratem.

Echa nocy listopadowej doszły na Wołyń i ożywiły niedobitków karbonyzmu, którzy zabrali się do formowania partyzantki. Na Wołyń wkroczył w kwietniu 1831 r. z małym korpusikiem zwycięzca spod Stoczki — gen. Józef Dwernicki, spodziewając się, że szlachta folwarczna, nadająca ton życiu polskiemu i salonowemu patriotyzmowi, ławą przyciąży się do powstania i pomoże zrzucić jarzmo zaborcze. Dwernicki się omylił: obzarnicy wołyńscy, za nielicznymi wyjątkami, zagrali na dwa fortepiany: zapewniali generała powstającego, że go poprą a jednocześnie posyłali generałowi carskiemu Dybiczowi kilka tysięcy wołów karmnych dla jego wojska w Królestwie, walczącego z powstańcami. Inicjatywa powstająca na Wołyniu była, niestety, w rękach tej szlachty, na czele której stanął hr. Narcyz Olizar, sąsiad Worcellów i ich kolego z ławy szkolnej, a na emigracji prawa reka ks. Adama Czartoryskiego — „króla de facto”, szefa administracyjnego obozu zachowawczego. Stanisław Gabriel Worcell stanął pod komendą swego ojca, który stworzył mały oddział partyzantki i zniósł dzielnie forpoczty carskie w rejonie Rafałówki. W końcu kwietnia 1831 r. został wszakże rozbity i schronił się do okolicznych lasów, gdzie połączył się wkrótce z oddziałem najdzielniejszego partyzanta wołyńskiego — Karola Różyckiego. Z tym to oddziałem Stanisław Gabriel Worcell poszedł do Królestwa, przechodząc chrzest bojowy w bitwie pod Uchaniem. Worcell uczestniczył w niej bez broni, „z najzimniejszą krwią, jak stary wojak, atakował z drugim razem i w chwili po tym z oficerem w niewole wziętym rozprawiał o literaturze francuskiej; zgłębł, dym, strzały, nie zmieszały go wcale” — pisał o tym wspomniarz bój. Było to w nocy z 9 na 10 czerwca 1831 r. Inni też stwierdzają, że Worcell okazał wielką odwagę chociaż nie przejawiał usposobienia wojowniczego. W kilkanaście dni po tej potyczce wołyński wybrał Worcella posłem z rówieńskiego do Sejmu powstającego. Worcell pełnił sumiennie swe obowiązki poselskie, uczęszczając regularnie na posiedzenia i uczestnicząc często w dyskusjach. Jako jeden z pierwszych nowowybranych posłów podpisał akt detronizacji Mikołaja I i wypowiadał się za energicznymi środkami prowadzenia walki z caratem. 22 lipca powołano Worcella „jako znanego z gorliwości, niepospolitego ducha obywatelskiego i patriotyzmu” do gwardii narodowej warszawskiej i przydzielono do artylerii. Zwolennik energicznego działania i walki, zwałował Worcell kunktora generała Skrzyneckiego, naczelny wodza i przyczynił się poważnie do jego obalenia w sierpniu 1831 r., proponując na jego miejsce utalentowanego stratega gen. Prądzyńskiego, który nie chciał w tak ciężkich warunkach przyjąć naczelną komendy.

Upadek powstania rzucił Worcella na tułaczkę. 16 września 1831 r. Worcell wraz z korpusem gen. Ramoriny znalazł się w Galicji pod władzą austriacką. Pewien czas bawił we Lwowie w gronie znajomych i przyjaciół, by na wezwanie Antoniego Ostrowskiego, byłego komendanta gwardii narodowej warszawskiej, krzątającego się w Paryżu koło zebrania tam sejmiku powstającego, stanąć w stolicy nadsekwajskiej w lecie 1832 r. W życiu Worcella otwiera się najpiękniejsza, a jednocześnie jakże tragiczna karta, która tułaczka-emigranta, nieugiętego szermierza rewolucji społecznej i politycznej na ziemiach polskich pod sztandarem rewolucyjnego internacjonalizmu. Na emigracji dojrzała stopniowo osobowość rewolucyjna Worcella w ogniu polemiki, dyskusji i walki z różnymi obozami. Worcell nie odrzucał od razu właściwą drogę, nie odrzucał wyzwoleń, że swą świadomości relikta feudalne, nie odrzucał się do klasy społecznej, która go wydała i przesyłała na pozycję jej wroga, na pozycję bezkompromisowej rozprawy z feudalnymi stosunkami produkcji, nie odrzucał stał się zwolennikiem i propagatorem utopijnego socjalizmu.

(ciąg dalszy nastąpi)

KAJETAN KOTOWICZ

LUDZIE Z PRZYPISÓWKI

Praca konkursowa wyróżniona

Jest już późna jesień. Po wrześniowej i październikowej suszy, dzięki której kukurzy więcej w burakach, więcej w nich słońca, ale i krzyże więcej przy ich zbiorze bojął się przysłać pora deszczu, przejmujących wiatrów i ołowianego nieba. I w Kawiach jest nie inaczej, niż w reszcie Polski. Nie inaczej z pogodą.

Minąwszy na 60-tym kilometrze od Bydgoszczy małe miasteczko Sępólno wjechaliśmy na polną drogę, pełną błota i kałuż. Szofer zna ten trakt na pamięć i dzięki temu brniemy naprzód, raz po raz zjeżdżając na boki, na łaskę lub skłótnię, wymijając co groźniejsze i głębsze bajora.

Wzdłuż drogi świeżo wkopane telefonice słupki. Prowadzą nas nieomylnie w stronę spółdzielni produkcyjnej w Kawiach. Te świeżo wkopane słupki, jeszcze dziesięć, samotnie stojące, nie powiastają ze sobą drutem, to pierwszy sygnał nowego życia, które nie chce być zagubione wśród pomorskich jezior i torfowisk, odciete jesiennymi kałużami od szkół dla dzieci i pomocy lekarskiej dla położnych.

Pierwszy bodaj użytek, który Spółdzielnia zrobiła z przynajmniej jej kredytów — wyjaśnia mi sekretarz komitetu powiatowego PZPR — pierwszych 14 tysięcy, wydanych z funduszu już wspólnych, społecznych to właśnie udział w budowie tej linii telefonicznej, niewykonalnej jeszcze, ale będącej zapowiedzią ziszczenia tych najlepszych nadziei, które ludzie z Kawi wzięli ze swą śmiałością decyzją.

Im bliżej podjeżdżamy do wsi, tym energiczniej przecieram zapotrzebowanie samochodu. Ponad ramieniem sfera wypatrzone domów, wsi. Nie ma w tym momencie, kiedy ukazują się na horyzoncie pierwsze, otoczone drzewami chaty, urywa się rząd słupów telefonicznych: pokazywały nam kierunek, nie zbłądzimy teraz w boczną drogę, których tu pełno, nie skreślimy do Wiśniewki, Grochowca czy Świdwi, żyjących jeszcze po staremu, jak żył dziad i pradziad.

Oglądam się jeszcze raz za siebie, ciężko rozstawać się z tym symbolem nowych ludzkich ambicji. Nie dociągnęli jeszcze słupów do wsi, nie powiastają ich drutem, nie ma z nich jeszcze zamierzonego pożytku, ale osadnicy z niedznej wioski lubelskiej, którzy tu, na Pomorze, do zachodniej Polski przyniosła na wieś telefon, to coś, czego nie sposób zrozumieć, zanim się tych ludzi nie pozna.

Mieczysław Pożaroszczak jest wysoki, błądy i ma twarde, nie pasujące do niego dionie. Mówiąc mocno, ale choć słowa nie płyną mu gładko, ten pot soterany co parę minut spod oczu i z czoła nie jest wynikiem nieprawdopodobnego mówienia. Mieczysław ma dopiero 22 lata, od lat czterech uprawia tu w Kawiach swoją działkę, ale gruźlica, której się nabawił w lasach lubelszczyzny, nie chce go odstąpić.

Mieczysław jest sekretarzem, podstawowej organizacji PZPR, członkiem zarządu Spółdzielni Produkcyjnej. Spółdzielnia w Kawiach powstała dopiero przed dwoma miesiącami, już po zbiorach, które każdy z członków przeprowadził jeszcze sam i na swój własny rachunek.

Mieliśmy siedem zebranych, zanim ludzie zdecydowali się podpisać deklarację o przystąpieniu do Spółdzielni. Na pierwsze przyszło 11 ludzi, na drugie 8, na trzecie już tylko czterech nas było. Dzisiaj mamy siedemnaście członków.

— Było więc rozmaitości...

Pożaroszczak nie nie odpowiada na to, widząc, że przebiega myślami tak niedawną w czasie przeszłość.

Gdzieś około 6 września — ciągnie dalej — przyjechał z Sępólna Nogał z trzema traktorami. I zaczęliśmy orać. Doorywaliśmy kłami, podzucili się nawozów, bronowała. Po paru dniach obelaliśmy 53 ha ztem selekcyjnym.

— Wszyscy? — pytam nieśmiało. — Nie, nie wszyscy. Niektórzy siedzieli w domu, przed opłotki najwyżej wychodząc i mówili, że muzykant przyjechali. Ale też grali te traktory.

— A z obornikiem, jakie macie kłopoty?

Ze statutu wynika, że w pierwszym roku, zanim jeszcze krowy staną we wspólnej oborze, każdy sam na pole obornik musi rozrzucić. Zima już za pasem, obornik po rozrzuconiu przeorać trzeba jeszcze, żeby woda sily z niego nie zmyła, a tymczasem i swojej prywatnej roboty jest jeszcze sporo. To może jedynie, czegośmy dotychczas do końca nie zrobili.

— Wypych mi mówili, że wyście swój już rozrzućli wszystek i Jurek także.

— No, jak się jest w zarządzie, to nie sposób być ostatnim.

Rozmowę prowadzi w mieszkaniu. Ciężkie, rozległe, solidnie i dostojnie z zewnątrz wyglądające zabudowania, wzniecone przez bogatych osadników niemieckich, wewnątrz są ponure i zimne. Rozglądam się po ścianach: makakta zawieszona po przeciwległej od okna ścianie jest wyraźnie wilgotna. Instynktownie przeczuciem wzrok na rozmówcę: tym samym, automatycznym ruchem znowu ociera zapocone czoło.

Na ścianie fotografie. Na jednej dwa czerwonoarmistów. Wskazuje ręką.

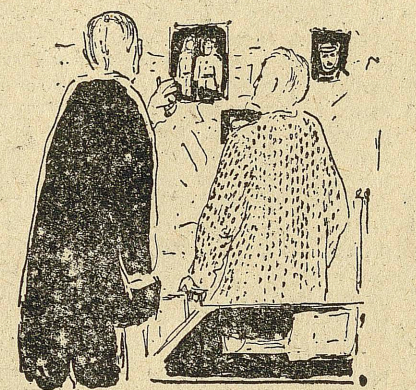
— Ten z lewej to mój brat, uciekł do Związku Radzieckiego jeszcze w 1937. Policja go szukała.

— A ta druga? — wskazuje na fotografię mężczyzny w przedwojennym mundurze plutonowego.

— Tego Niemcy zabili, jak jechali do Warszawy z meldunkami. I drugiego też — wskazuje na inną jeszcze fotografię, z której patrzy bystro, przenikliwe oczy. — Otoczyli pod naszą wsią grupę alowców, brat przebiegł się, postrzelili go, upadł w śnieg. Sam się dobili, żeby nie męczyli. Ale go zostawili tak, jak był, bo miał mundur na sobie. Innych, co byli w cywilu, to do naga rozbił.

Dziwię się spokojowi, z jakim ten młody mężczyzna opowiada o śmiertelnych najbliższych mu ludzi. Jakby zgadując moje myśli, Pożaroszczak mówi dalej:

— My w Przypisówce, musieliśmy do takich rzeczy przywyknąć. Przed wojną policja często w nasze strony zachodziła, a za okupacji to i z samolotów kilka razy naszą wieś bombardowali i artylerią też dawali się we znaki.



Tego samego jeszcze dnia rozmawiam z Józefem Jurkiem. To jest rozmowa, jak i poprzednia, kradzioną — w dzień roboczy nikt tu chętnie w rozmowy się nie wdaje. Jurek też jest bardzo młody, też rodem z Przypisówki, ale zdrowy i przystojny jak aktor filmowy. Gdyby nie mowa i akcent przywieziony tu na Pomorze z rodzinnej lubelszczyzny, trudno byłoby rozpoznać w nim syna małego chłopca.

Z naszej wioski — opowiada chętnie Jurek — wyszło pięciu majorów, ośmiu kapitanów i kilkunastu poruczników. Na całą lubelszczyznę Przypisówka jest sławna, a i teraz nasi tam nie pozostali w tyle i spółdzielnie już założyli. Najpierw była u nas Gwardia Ludowa i broń, cośmy psim swędem zdobyli. A potem, jak już powstała AL, to sowieckich szturtem mieliśmy pod dostatkiem. W 1941 roku miałem 14 lat, jak nas Niemcy z Kryjówki w oborze wywieźli. Ojciec, wuj, i inni jeszcze, jednego gospodarza to od razu na podwórzu powiesili, mnie zbili do krwi, a ojca do Lublina zabrali, a potem jego i dwunastu innych do Parczewa wywieźli i tam powiesili.

Czarny, szczerpy i żylasty, czterdziestoletni Marek Panek najmłodsze chętnie o czasach wojennych opowiada — choć wiadomo, że sam dzielnie w czasie wojny się sprawował, a przez jego wyrobnictwo i bieżącą partyzantów się przewijało. Panek, choć niepiśmienny, głowę ma bystrą a jego ciego języka i zapalczywości boi się cała okolica. Dzisiaj Panek jest zjadliwszy, niż zwykle, unieruchomiona od kilkunastu dni w gipsie noga ani chodzik swobodnie mu nie pozwala, ani spać nie daje. Panek chodzi, o kulach, ale chodzi. W łóżku nie uleży, nosi go po obejściu.

— Ja lubię spać do 9-ej a czasem dłużej jeszcze, ale jak stanę do roboty, to za trzech zrobić. Wszyscy to wiedzą, że jak Panek wychodzi z pola, to mu się robota w rękach pali. Włose jakże to będzie? Jak spóźni się do pracy, to obietna z dniówką, a jak zrobię za trzech, to za jednego dostanę?

Sprawy spółdzielni gnębią go bez końca, rozwiązać mu jedną trudność, a zaraz znajdzie trzy dalsze.

— Bo ja mówię wam, chłopcy, nie bierzcie tyle kredytów, nie budujmy dużo, bo nas utopia w długach, nie podniesiem się z tego.

Marek ma najgorsze, najuboższe bodaj mieszkanie ze wszystkich członków spółdzielni. I dzieciaków troje. Ale kiedy na zebraniu członków Spółdzielni przewodniczący PZGS z Sępólna J. Nogał, też rodak z Przypisówki, zapytuje, kto chce się budować na świeżo wymierzonych działkach — Marek milczy. Choć chce po wyzdrowieniu uczyć się na traktorzystę i wiosenną orkę już samemu poprowadzić — Marek nie przestał jeszcze całkowicie myśleć kategoriami małego chłopca, który pamięta, że jak przed wojną chałupę sobie wystawił, to potem przez trzy lata dzieci ani jajka, ani słoniny nie widziały. Ale Panek to dobry towarzyarz i wszyscy wiedzą, że jak się wypieniaczy i wysobiepani, to w przedmiotach pracy mało kto mu dorówna.

Jest już wczesna noc listopadowa. Na polu nieprzeniknione ciemności. Idę po omacku, wzdłuż obejść, ta polna „polska” droga w kierunku domu, w którym mieszka Panek. Deszcz ślapi, pod nogami chłupot biota. Jedynie jasne punkty, przedzierające się z ciemności, to obietna u nasady, tuż przy pnju konary wierzby przydrożnych. Jeszcze za dnia widząc okaleczone drzewa, rozumiałem, że to ludzie z Kawi torowali drogę przewodom, telefonicznym. Teraz, że świeże jeszcze plamy po obciętych konarach kierują moimi krokami.

Najpierw ciemny przedświec wlotem w drewnianą przybudówkę, potem kuchnia, w której sporo obcych i znajomych już twarzy, wreszcie

długa kiskowata izba, w której leży Marek Panek. Kiedy wchodzi, jest sam, z najmłodszą córką siedzącą mu okraciem na brzuchu. Dziecko nie ma butów, więc łożko to najlepsze dla jednorocznika miejsce. Jest już chyba siódma wieczór, ale małej dziecko jeszcze do spania. Jak i Panek, który od czasu, jak złamał nogę, skarży się, że jeść nie może i spać mu ciężko. Pracować przecież nie uradzi teraz, a że pochodzi trochę po obejściu o kulach — ileż z tego pożytku?

Marek zapomniał nawet o gołeniu. Leży półubrany na łożku, przykryty do połowy pierzyną, światło padające przez uchylone do kuchni drzwi wydobywa na jego pokrytej czarnym zarostem twarzy groźne, starcze cienie.

Panek nie ma apetytu, sen nie łatwo go nachodzi, noga w gipsie — od włożenia się za dnia po osadzie — puchnie i boli, grozi żywego brak w domu i robota zaniedbana przez chorobę, ale jest w tym człowieku, w tym chudzieliu przeraźliwym, na wior wyschniętym, żywotność i radość życia wprost oszałamiająca. I tyleż w nim szczerości i dowcipu.

Na akcję siewną — mówi Marek, gasząc na dionie papierosa z takim spokojem, jakby to robił o podłogę — Zarząd postawił się z Samopomocy o 300.000 złotych. Powiedziałem chłopcom — obejdziemy się. Ziarno trza dostać na zasiew wyborowe, najlepsze, ale kredyty, długów na głowę nie bierzemy. Dostaliśmy z Centrali Rolniczej ziarno selekcyjne a oddaliśmy nasze. Ot i po wszystkim. Obeszło się bez kredytów. Widział obywatel? Nie pięknie może wesoło? U Zamoskich przed wojną nie było lepszego. Panek śmieje się głośno, całą twarzą i oczy mu się śmieją najszlachetniej. Do izby wchodzi Pożaroszczak. Siada obok mnie, przy łóżku Panka. Zwołany naszą rozmową przechodzi do nas z kuchni Rybak Stanisław, sąsiad niedaleki, członek PZPR w Kawiach, ale do Zespołu nie należący. Stał w drzwiach, wypchnął się sobą i zaciemnił izbę do reszty. Po chwili Woliński Józef, przewodniczący Zespołu i Wypych Czesław znaleźli się też w izbie. Przyjeżdżali na sąsiednim łożku i na podłodze.

Panek, jakby podniecony obecnością „władzy” spółdzielni i głośno wypowiadając tylko część tego, co mu w tej chwili po głowie chodzi, stwierdza ni stąd ni zowąd:

— A Białkowski mówi, że 50 ha w parę koni obrobić mogą. U nas w Zespole jest 180 ha, znaczy się, że cztery pary koni starczyłyby aż dosta.

Białkowski i Buda, których prywatne zagrody rozrzucone są na dwóch przeciwległych krańcach gruntów objętych Spółdzielnią, mają dwudziestokilkohektarowe gospodarstwa. Obaj usposobieni są wrogo do Zespołu, zacieklej kulakom wyrastającą i krępującą pod ich bokiem nowe życie spędza sen z powiek. Ale otwarte walki z Zespołem na razie nie podejmują. Rzecz jest przecie nowa, nie okrzepła ani gospodarstwo, ani świadomości członków Zespołu, i że wrogi i bezpieczniej — myślą obaj — rozwalić te robotę przez sianie wątpliwości, podjazdową walkę. Pocóż — mówią — orać traktorem tę spółdzielnią ziemię? Czy to konie nie wystarczą?

Panek nie kończy swojej myśli, nie odpowiada.

We wczorajszej Gazecie Pomorskiej była wiadomość, że z kilkunastu Zetorów, sprowadzonych z Czechosłowacji, jeden przeznaczony jest dla spółdzielni w Kawiach. I oto Panek, który mimo złamanej na traktorze nogi od tygodnia już wygraża, że do nowego traktora nikogo nie dopuści, że sam nim będzie na wiosnę orać,

Jerzy Lau

GDY RZĘKI ZDOBEDĄ PUSTYNIE

W górach Uzbekistanu

popiół żarem błyska,

tylko w studni woda

ma kolor czeresni.

Giuzell pasterka

patrzy z siodła,

jak pustynna zorza

na twarz zarzuca

zmierzchu czarzaiff.

Koi grzebie nogą

w słońcu ciągnie arbę,

błyska żmija i znika

pod kołami syczy piach.

Brygadier kolchozu Wania

na motorze objeżdża step,

jutro poprowadzi rzekę

w suchy, pustynny piach.

Mapę na wietrze rozwija

mapę sztabową kolchozu

— „Krasnyj Oktjabr”.

Jutro cała brygada

twoją sprawę rozpatrzy

feodalna staruszko.

— przyrodzie pomaga partia.

Radzi długo nie będą

towarzysze kolchoźnicy

wiadomo, że imperialiści

nie chcą, aby pustynia

miliardy pudów rodziła

uzbeckiej pszenicy.

W górach Uzbekistanu

chce pić rewolucja!

Chce zbóż kołysać łany,

budować miasta, koleje,

a w jarach słońca

hodować winnice.

ten sam Panek rzuca prowokacyjne pytanie. Jest już w spółdzielni kilka naciętych koni, za parę dni wyremontuje się stajnie, dziury szczerze cementem pozatyka, okna wstawi, przegrody przyszykuje i konie staną wspólnie, pod jedną już opieką. Po co im traktor? Za darmo to go dostaną?

Nikt z obecnych nie podejmuje wątpliwości. Jest już w spółdzielni kilka naciętych koni, za parę dni wyremontuje się stajnie, dziury szczerze cementem pozatyka, okna wstawi, przegrody przyszykuje i konie staną wspólnie, pod jedną już opieką. Po co im traktor? Za darmo to go dostaną?

— Ale Panek nie rezygnuje tak łatwo. Nie ma dla niego życia bez walki. Niemców już nie ma, a Buda i Białkowski daleko. Chciałby ich tu mieć bliżej... Naciera uparcie dalej, podnosi się z łożka, ręką wygraża Pożaroszczakowi.

— A dlaczego to nie zaprosi Białkowskiego i Budę na nasze zebranie? Nie ludzie to? Czy my tu konspiracyjną jaką odstawiamy, tajemnicę robim?

Tym razem udało mu się. Pożaroszczak spokojnie lecz stanowczo klaruje, że dopóki ich Zespół sam w sobie nie okrzepnie, póki wśród nich nie ma jeszcze całkowitej jednności i w pomysłunku i w działaniu — jakże to zapraszać obcych? I czy on, Panek, myśli że dobrze byłoby, żeby bogacza, na ich zebranie zapraszać, dać mu tu gadać, co myśli? Z sobą najpierw dajmy sobie radę, z wywózka obornika, porządkiem w obejściu, remontem stajni i oborze, zabezpieczeniem maszyn stojących dotąd na polu, choć zima już blisko, z sobą najpierw, nie myślisz?... A potem, jak już z sobą dojdziemy do ładu, jak porośniemy w siłę — nie tylko że o gadaniu z kulakami nie będzie mowy, ale ostrzej jeszcze walczmy nam przyjdzie z Budą i z Białkowskim. Bo im my tu w zespole silniejsi będziemy, im lepsze krowy będą stały w oborze a żyta i pszenicy więcej z hektara rodzić się nam będzie — trzeba będzie ostrzej jeszcze walczyc i to nie tylko z kpiakami i pogadywaniami, że traktor nam niepotrzebny. Jakby nam wtedy ktoś powiedział żeby Białkowskich na zebranie zapraszać, ty pierwszy, Marek, skoczysz mu do oczu i dobrze będziesz wiedział dlaczego!

Panek myśli namłotnie, ale co myśli, nie mówi. Niech się wypowie Woliński, przewodniczący on przecież. Wypych. I naraz podskakuje na łożku, wygraża stojącemu w drzwiach staremu Bystrzyckiemu.

— Jak nie przestaniesz tu do mojej baby przychodzić to jeszcze portki kiedy zgubisz.

Wszyscy wybuchają śmiechem. Bystrzycki kulawy i zezowaty, z włosem zmierzwiłym i wiechowatym, pogodnie przyjmuje ten wybuch. Niech się ludzie śmieją, jeśli nie można inaczej, niechby i z niego. Stary on już, ale nie taki ostatni. Przyjechali tu w 1945 roku razem, mordowali się, choć każdy na swoim, ale jednak gromadą, w kupie, pobogacieli razem.

Bystrzycki nie patrzy na Spółdzielnię swoim tylko rozumem ani swojej starości, ale gromadnie. Choćby i ten barak na świetlicę, co go stawiali zaczęli. Będzie w nim przedszkole dla dzieci, a on dzieci nie ma i mieć już nie będzie. Ale że jest majestrem a w świetlicy wieczorem i gazetę ktoś z młodzieży poczyta i radia będzie można posłuchać — on pracuje przy nim nie mniej od innych. Fundament już postawili, w przyszłym tygodniu zwoją z tartaku barak i w parę dni ustawią. Nie będzie tak smutno żyć jak dotąd, nie będzie smutno. Bogaciej już, ale smutniej niż w Przypisówce.

Za tym barakiem, żeby go szybko ustawili, gardują najwięcej kobiety, co dzieciaki mają małe. Nie da to matce zająć się robotą, krzyczy, dokucza, guzy sobie nabija — a jak

lubelskiej, do ostatniego nowego życia. Niektórzy z nich jeszcze przed wojną zaufali swojemu instynktowi klasowemu, wszyscy zaufali mu w latach wojny, teraz świadomie — choć nie bez wewnętrznych oporów — zawieźli się organizacji partyjnej, która prowadzi ich drogą trudniejszą dla chłopów niż partyzantka, niż wysadzanie pocągów z hitlerowskimi transportami, drogą codziennej walki z sobą i z otoczeniem, z nawiąkami odziedziczonymi niemem, drogą nie tanio osiąganego postępu. Jeśli się nie chce cofnąć, jeśli pomyśla o dzieciach — jakąż drogą im pozostać?

Dzieci przecież zaczęła podraść, szkoły pokochała, zechciała się usamodzielniać, poenić, pójść na swoje — z czymże pójdą? Co im dać można? Znowu, jak ich dziadowie i ojcowie w lubelszczyźnie, dziećmi musieliby bez końca te kilka hektarów na coraz mniejsze splachetki, na wyrobników posłać własne dzieci do Białkowskich i Budów, a w końcu może i całkiem z ziemi się wypruć?

Z miejsca, w którym siedzę, widząc poprzec uchylone drzwi do izby kuchennej zakłajającej się przy palenisku Pankowa. W gumowych butach na boso nogi, w chustce ciężkiej, włóczkowej, zakrywającej głowę i część twarzy, Pankowa krząta się przy palenisku. Odstawia na podłogę ciężki garnek z lanego żelaza, z którego dymi kapusta, zdejmując patykem duże fajki, kładzie garnek z powrotem w powiększony otwór blatu. Schyla się raz jeszcze, podruca w ogień kawałki suchego torfu. Dzieci już marudzą, trzeba przyspieszyć kolację.

Kuchenna izba też pełna jest ludzi. Młoda, uroczą jak jej brat zżona Jana Sowy siedzi najbliższej drzwi, obok zżona Ligeja, skupiona i jak zawsze poważna. Wszystkie robią na drutach i rozmawiają nie podnosząc oczu z nad roboty.

Znowu dziś przejeżdżali koło nas jacyś z Wiśniewki. Nakładają drogi, żeby patrzeć, pospieszają. Pytali, czy już jemy wszyscy ze wspólnego kotła...

— Zżona Sowy, młoda, zdrowa i dziwnie uroczą, najdłuższą przebyła drogę. Przynajmniej jest tego otwarcie, że jeszcze rok temu słyszała nie chciała o Spółdzielni. Myślała o niej, jak o czymś groźnym, nieznanym, burzącym całe dotychczasowe życie. A kiedy Spółdzielnia zaczęła oznaczać przedszkole dla dzieci, świetlicę, w której radia wieczorem posłuchac będzie można, działki wytyczone właśnie przez geometrę pod nowe zabudowania — jakże ciasno żyje się teraz w dusznych, poniekieckich chatach — zżona Sowy przestała myśleć o Spółdzielni słowami kumoszek z piątkowego targu w Sępólnie. Zobaczyła —

W górach Uzbekistanu popiół żarem błyska, tylko w studni woda ma kolor czeresni.

Giuzell pasterka patrzy z siodła jak pustynna zorza na twarz zarzuca zmierzchu czarzaiff.

Koi grzebie nogą w słońcu ciągnie arbę błyska żmija i znika pod kołami syczy piach.

Jerzy Lau

pójdą do przedszkola, inne życie w domu będzie, robota inaczej pójdzie i dzieci kultury od fachowej przedszkolanki zdobędą.

Babka sześciomiesięcznego Henryka Sowy, wdowa po powieszonym Feliksie Jurku, mówiła mi wczoraj:

— Jak podzucam przez parę godzin tego chłopaka, to mi potem tak serce bije, że spać w nocy nie mogę. I tak do roboty nie bardzo już zdolna, sence dokucza, a dzieciaki znowu dają człowieka na amen. Żeby to już ta świetlica była, przecież tym dzieciom wszystko najlepsze się należy. My starzy...

Jurkowa ma 43 lat. Jest już trochę siwa, ale twarz ma pełną, dorodną, rumianą.

— My starzy...

Patrzę teraz na zaniedbaną twarz Bystrzyckiego, na jego śmiejące się, zezowate oczy.

— Ty pilnuj swego — mówi do Panki — o starego się nie martw, a ja już swoich spodni dopilnuję.

Izba, w której siedzimy, jest już pełna i ciemno w niej od dymu. Palimy wszystkie „Moone”, normalne monopolowe „Moone”. Jakąz olbrzymią drogę gospodarczego awansu przeszli ci lubelscy chłopcy, jeżeli ani potrzeba finansowa ani — u starszych — dunoletni nawyk nie kazał im powrócić do lubelskiej „samostiejki”. Jak długo pała, nie palił przecież innego tytoniu jak sadzony wśród kukurydzy na własnym polu lub kradziony z plantacji. Ani przed wojną, ani w czasie okupacji. Dobra, cienko krajana lubelska samostiejka — innego” przecież tytoniu biedota z Przypisówki nie znała. Pała teraz „Moone” — po polówce, oszczędnie — pała monopolowe, choć przecież nie ma miesiaka, żeby ktoś ze stron rodzinnych Kawi nie odwiedził, a przesiada paczkę pocztą też przecież nie wysłał. Nie patrząc do obór i stajni, nie widząc gromad paktwa zalegającego za dnia każdy kąt gospodarczych zabudowań, nie dowiadując się, ile każdy z tych nowych ludzi ziemi tu otrzymał — po tym mowom dla nich tu nawyku, po tych „Moonych” tylko sądząc, łatwo dostrzec drogę, którą przebyli. Od niedzy zagęszczoną, duszącą je wsi

lubelskiej, do ostatniego nowego życia. Niektórzy z nich jeszcze przed wojną zaufali swojemu instynktowi klasowemu, wszyscy zaufali mu w latach wojny, teraz świadomie — choć nie bez wewnętrznych oporów — zawieźli się organizacji partyjnej, która prowadzi ich drogą trudniejszą dla chłopów niż partyzantka, niż wysadzanie pocągów z hitlerowskimi transportami, drogą codziennej walki z sobą i z otoczeniem, z nawiąkami odziedziczonymi niemem, drogą nie tanio osiąganego postępu. Jeśli się nie chce cofnąć, jeśli pomyśla o dzieciach — jakąż drogą im pozostać?

Dzieci przecież zaczęła podraść, szkoły pokochała, zechciała się usamodzielniać, poenić, pójść na swoje — z czymże pójdą? Co im dać można? Znowu, jak ich dziadowie i ojcowie w lubelszczyźnie, dziećmi musieliby bez końca te kilka hektarów na coraz mniejsze splachetki, na wyrobników posłać własne dzieci do Białkowskich i Budów, a w końcu może i całkiem z ziemi się wypruć?

Z miejsca, w którym siedzę, widząc poprzec uchylone drzwi do izby kuchennej zakłajającej się przy palenisku Pankowa. W gumowych butach na boso nogi, w chustce ciężkiej, włóczkowej, zakrywającej głowę i część twarzy, Pankowa krząta się przy palenisku. Odstawia na podłogę ciężki garnek z lanego żelaza, z którego dymi kapusta, zdejmując patykem duże fajki, kładzie garnek z powrotem w powiększony otwór blatu. Schyla się raz jeszcze, podruca w ogień kawałki suchego torfu. Dzieci już marudzą, trzeba przyspieszyć kolację.

Kuchenna izba też pełna jest ludzi. Młoda, uroczą jak jej brat zżona Jana Sowy siedzi najbliższej drzwi, obok zżona Ligeja, skupiona i jak zawsze poważna. Wszystkie robią na drutach i rozmawiają nie podnosząc oczu z nad roboty.

Znowu dziś przejeżdżali koło nas jacyś z Wiśniewki. Nakładają drogi, żeby patrzeć, pospieszają. Pytali, czy już jemy wszyscy ze wspólnego kotła...

— Zżona Sowy, młoda, zdrowa i dziwnie uroczą, najdłuższą przebyła drogę. Przynajmniej jest tego otwarcie, że jeszcze rok temu słyszała nie chciała o Spółdzielni. Myślała o niej, jak o czymś groźnym, nieznanym, burzącym całe dotychczasowe życie. A kiedy Spółdzielnia zaczęła oznaczać przedszkole dla dzieci, świetlicę, w której radia wieczorem posłuchac będzie można, działki wytyczone właśnie przez geometrę pod nowe zabudowania — jakże ciasno żyje się teraz w dusznych, poniekieckich chatach — zżona Sowy przestała myśleć o Spółdzielni słowami kumoszek z piątkowego targu w Sępólnie. Zobaczyła —

lubelskiej, do ostatniego nowego życia. Niektórzy z nich jeszcze przed wojną zaufali swojemu instynktowi klasowemu, wszyscy zaufali mu w latach wojny, teraz świadomie — choć nie bez wewnętrznych oporów — zawieźli się organizacji partyjnej, która prowadzi ich drogą trudniejszą dla chłopów niż partyzantka, niż wysadzanie pocągów z hitlerowskimi transportami, drogą codziennej walki z sobą i z otoczeniem, z nawiąkami odziedziczonymi niemem, drogą nie tanio osiąganego postępu. Jeśli się nie chce cofnąć, jeśli pomyśla o dzieciach — jakąż drogą im pozostać?

Dzieci przecież zaczęła podraść, szkoły pokochała, zechciała się usamodzielniać, poenić, pójść na swoje — z czymże pójdą? Co im dać można? Znowu, jak ich dziadowie i ojcowie w lubelszczyźnie, dziećmi musieliby bez końca te kilka hektarów na coraz mniejsze splachetki, na wyrobników posłać własne dzieci do Białkowskich i Budów, a w końcu może i całkiem z ziemi się wypruć?

Z miejsca, w którym siedzę, widząc poprzec uchylone drzwi do izby kuchennej zakłajającej się przy palenisku Pankowa. W gumowych butach na boso nogi, w chustce ciężkiej, włóczkowej, zakrywającej głowę i część twarzy, Pankowa krząta się przy palenisku. Odstawia na podłogę ciężki garnek z lanego żelaza, z którego dymi kapusta, zdejmując patykem duże fajki, kładzie garnek z powrotem w powiększony otwór blatu. Schyla się raz jeszcze, podruca w ogień kawałki suchego torfu. Dzieci już marudzą, trzeba przyspieszyć kolację.

Kuchenna izba też pełna jest ludzi. Młoda, uroczą jak jej brat zżona Jana Sowy siedzi najbliższej drzwi, obok zżona Ligeja, skupiona i jak zawsze poważna. Wszystkie robią na drutach i rozmawiają nie podnosząc oczu z nad roboty.

Znow

ŁUDZIE Z PRZYPISÓWKI

(dokończenie ze str. 3)

Mieczysław przerwał na chwilę a potem, jakby kończąc niedopowiedzianą myśl, dodaje:

— Ale z Rybaka chłop w duszy nie najgorszy, popracować nad nim trzeba jeszcze będzie.

Leżymy już w łóżku, okryci ciężką pierzyną. Ligęzowa, zajmując wraz z mężem drugi pokój, zabrała lampkę naftową. Przez osłonięte perkalikową zasłonę, przebiega żółte światło. Mieczysław oddycha ciężko, nierówno — słyszę jak co parę minut wyciąga rękę spod pierzyny i ociera chustką pot z twarzy.

— Zdałoby wam się wyjechać na leczenie, choć na sześć tygodni do jakiegoś sanatorium. Należycie przecież do Związku Walki o Niepodległość i Demokrację, powinni wam pomóc.

— Jakoś to ciężko idzie, załatwić trudno, nie bardzo o nas pamiętają dawni towarzysze... A zresztą, żal rzucać pracę, za dużo tu się włożyło.

Mieczysław nie mówi w pierwszej osobie i czuje, że nie mówi wszystkim.

Nie pytam więcej. Zасыpiam myśląc o Warszawie.

Dzisiaj niedziela. Koło południa zjawili się w osadzie Nogal.

— No, chłopcy, na zebranie idźcie.

U Wolińskiego wszyscy się nie mieścili. Przechodzimy do dużej izby zamienionej na tymczasową świetlicę. Pieca tu nie ma, zimno, pod ścianami ustawiono ławy. Mały stółik i kilka krzeseł dla Zarządu. Nad stołkiem portret Prezydenta.

Nogal, mający za sobą trzy lata sanacyjnego wyleczenia, też jest rodem z Przypisówki. Ludzie go tu znają, rozumieją. Zwołali zebranie członków Zespołu, prowadzi je teraz Woliński. Spokojny, czterdziestoparoletni, gładko wygolony — Woliński pukał po punkcie czyta porządek dzienny, sam protokołu uchwały, rzadko dorzuca swoje uwagi do dyskusji.

Sprawa remontu stajni i zakupu inwentarza najwyższą wywołuje dyskusję. Najmniej kłopotu z barakami, wszyscy się godzą we wtorek pojechać wozami do Sepólna i barak zwieźć na miejsce. Trzeba się z tym pośpieszyć, żeby jeszcze przed adwentem uroczyste otwarcie urządzić. Bo przecież zabawa przy tym będzie, robotnicy z Bydgoszczy przyjadą i okolicznych chłopów sporo najdzie. A w adwent nie sposób, po co ludzi drażnić.

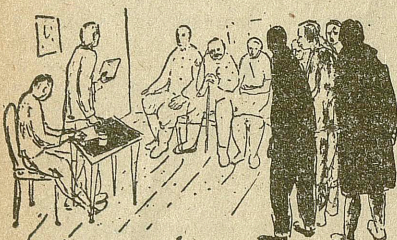
— A kiedy adwent — zapytuje Kamiński — przecież barak nie tylko zwieźć, ale i ustawić, oporządzić?

Jeden patrzy na drugiego, kobiety pytają — wybuchają wszyscy śmiechem.

— Pobożny naród — stwierdza ze śmiechem Woliński i zaczyna wertować kalendarz.

Przy dyskusji na temat zużycia 220.000 kredytów inwestycyjnych Panek znówu walczy, jak najmniej chciałby z nich wydatkować. A dopiero przy krowach, gdy zaczęto mówić, ile to krow Zespół powinien mieć w oborze — poznałem innego Panka.

— Ja bym kupił jak najwięcej, choćby i dwadzieścia prócz tych, które sami do Spółdzielni wniesiem. Krowa się wypłaci, zarobi na siebie, na nas jeszcze zarobi. Ja bym i z tych inwestycyjnych pieniędzy także krow kupił!



— A pasza, skąd paszy na zimę weźmiesz? — pyta Bystrzycki.

— I na paszę zarobim, byle mieścić wytrzymać aż pieniądze z mleczarni, świadomości, bojowy rewolucjonista, dziś przodownik w akcji „H” na terenie PGR-ów.

Zebrań rozpoczęło się. Przewodniczący Rady Rolnej, prawie dotykając rękami kartki, czytał porządek dzienny zabrania robotniczego. Czytał cicho, urywając, ten i ów zawiązał ręką jak szmatką jedno ucho, by lepiej słyszeć drugim. W nikłym, jakby przypływnym świetle twarzy i ubioru zebranych robotników tworzył obraz szaryzyny. Na oko, tak. A może nie tylko na oko, minęły przecież pierwsze miesiące powojenne, kiedy było niewątpliwie także dużo dobrej woli i chęci pracy, ale każdy bez dyspozycji czuł się poniekąd obrońcą przyszłości i budowniczym przyszłości na własną rękę.

Teraz rozważa i dyscyplina powinny poruszać myślą robotniczą. W spokojnej rozprawie jaśniej się widzi obowiązki i prawa.

W punkcie pierwszym programu zebrania robotniczego było sprawozdanie tow. Józefa Sosnowskiego na temat perspektyw realizacji jego zobowiązań na odcinku przychówku prosiat w związku z racunem wezwaniem do współzawodnictwa pod adresem innych PGR-ów.

Tow. Sosnowski wezwał 1 lipca 1949 r. wszystkie PGR-y do współzawodnictwa w dziedzinie wychowu prosiat. Swoją normę zobowiązania określił na 22 prosiat przeciętnie od każdej maciory do lipca 1950 roku. Jednocześnie tow. Parys, oborowy, wezwał wszystkie PGR-y do współzawodnictwa w podniesieniu mleczności krow. Zobowiązał się



Opiekunka obory Barczakówna, przodownia pracy Fot. K. Jarochoński

Wiatr wiał, spał mokrym śniegiem. W świetlicy Związku Robotników Rolnych w Chyszowie schodzili się pierwsi robotnicy na naradę produkcyjną. Przyszli wcześniej, by obejrzeć wykonane przy jej remoncie i rozszerzeniu prace.

W ten półmroczny się czas przyjechała do 50 hektarowego majątku w Tarnowie, należącego do zespołu Chyszów, furmanka. Czerwony z obwisłą wargą furman krzyknął w stronę Sosnowskiego, wychodzącego z chlewni:

— Stańcie tam, podjadę i wywałę wam ziemniaki dla świń.

— Obejrze pierw.

Podszedł, jego szyja wyciągnęła się, jak guma nad drewnianą paką, wreszcie w oczy furmana uderzyły gnieźne zrenice. Jednocześnie Sosnowski kategorię machnął ręką.

— Nie, nie przyjmę takiego śmiecia. Te ziemniaki są z gnojem do tego nadmarżnięte.

— Dla świń przecież... — nieśmiało bronił się furman z Tarnowa.

Sosnowski, jak nadeptnięty na bolące miejsce, podskoczył zrytowany.

— Myślicie, że świnią to już wszystko zeźre. Że to niby świnią... Może i zeźre, — refleksyjnie się nie patrząc końca... A koniec taki — nie wybierzesz niezjedzone jado z koryta, to ono skwasnieje, późni świnią zeźre, ale straci apetyt. Dasz coś nieczyste, zmarznęte, spleśniałe, nadgnięte, zepsute albo i skłębione ziemniaki, albo i otręby z żyta ze sporyszem, i już — gotowe u maciory poronienie. Całkiem ludzka rzecz.

— Wypłuczenie, obierzucie i będzie — mitygował dostawca — Cóż ja winien, takie mi nawallili na furę, takie przywiozłem.

— Trza było pierw sprzątnąć z pola, a nie czekać roztopów i przymrozków. Myśmy tu zdążyli, to i wy mogliście. Widzicie ich, ja se będę za leniów ręce urabiał. A to mi... a to mi...

Nagle stuknął się w czoło.

— A Partia gdzie? Partia gdzie?

Furman cofnął się. — Jest — szepnął, nie wiedząc, do czego Sosnowski dąży.

— Jest... jest... — przedrzeźniał. A gdzie organizacja podstawowa była, gdy ziemniaki marzyły? Też koto pieca siedziały? My ich nauczymy roboty, oo, nauczymy — pogroził i spluwając, odstąpił od wozu.

Furman rozłożył bezradnie ręce.

— No to co ja mam zrobić?

— Możesz wysypać na gumnie, niech wszyscy widzą, jaka u was kultura, my tego kryć nie będziemy — odciął i pokuszył się do świetlicy.

Tow. Sosnowski złamał nogę w służbie dziedzica. Spadł w czasie żniw z broda na ubitą, twardą ziemię. Dziedzic, na którego sute życie Sosnowski pracował szereg lat, nie zajął się nim, bo po co? Robotników za marne grosze było przed wojną pod dostatkiem, życie czy śmierć jednego robotnika dla pana dziedzica było obojętne. Ale Sosnowski wykurował się domowymi sposobami — żywokostem.

— To ustrój obszarności — kapitalistyczny okulał mnie — mawiał często tow. Sosnowski, sześćdziesięcioletni, uświadomiony, bojowy rewolucjonista, dziś przodownik w akcji „H” na terenie PGR-ów.

Zebrań rozpoczęło się. Przewodniczący Rady Rolnej, prawie dotykając rękami kartki, czytał porządek dzienny zabrania robotniczego. Czytał cicho, urywając, ten i ów zawiązał ręką jak szmatką jedno ucho, by lepiej słyszeć drugim. W nikłym, jakby przypływnym świetle twarzy i ubioru zebranych robotników tworzył obraz szaryzyny. Na oko, tak. A może nie tylko na oko, minęły przecież pierwsze miesiące powojenne, kiedy było niewątpliwie także dużo dobrej woli i chęci pracy, ale każdy bez dyspozycji czuł się poniekąd obrońcą przyszłości i budowniczym przyszłości na własną rękę.

Teraz rozważa i dyscyplina powinny poruszać myślą robotniczą. W spokojnej rozprawie jaśniej się widzi obowiązki i prawa.

W punkcie pierwszym programu zebrania robotniczego było sprawozdanie tow. Józefa Sosnowskiego na temat perspektyw realizacji jego zobowiązań na odcinku przychówku prosiat w związku z racunem wezwaniem do współzawodnictwa pod adresem innych PGR-ów.

Tow. Sosnowski wezwał 1 lipca 1949 r. wszystkie PGR-y do współzawodnictwa w dziedzinie wychowu prosiat. Swoją normę zobowiązania określił na 22 prosiat przeciętnie od każdej maciory do lipca 1950 roku. Jednocześnie tow. Parys, oborowy, wezwał wszystkie PGR-y do współzawodnictwa w podniesieniu mleczności krow. Zobowiązał się

osiągnąć w ciągu roku od dwudziestu paru krow przeciętnie po 4500 litrów mleka.

W ubiegłym roku uzyskał tow. Sosnowski przeciętnie po 20 prosiat od maciory. Zdawałoby się, że dwa prosiata więcej nie stanowi kwestii specjalnego trudu. A jednak tak nie jest. Trzeba wyteżonej walki, trzeba skupienia wszystkich sił i pieczołowitości, by nie dopuścić do zmarnowania ani jednej sztuki. Jak się sprawa przedstawia po półrocznym wysiłku o wykonanie podniesionej dobrodziejnie normy?

— Tak jest z tym zobowiązaniem „świńskim”, proszę towarzyszy i obywateli — zaczął dobitnie. Maciory mamy osiem, niezłych, zobowiązanie chyba wypełnię. Bo siedem już się wyprosiło, kto wie, czy dziś w nocy nie zlegnie „Dina”. Jest dotąd 71 sztuk małych, „Dina” będzie miała na pewno przynajmniej dziesięć, to za półroczną, w którym każda miała miot, otrzymam 81 sztuk. To dopiero czterdziestą pięć procent... (Tak se wylizyłem). W pół roku powinno być przynajmniej pięćdziesiąt procent, bo wszystkie maciory prosiły się w tym półroczu. Ale taki procent, to nie wina maciory, to moja wina — odświeżył odważnie.

— Co, żeś im nie pomógł rodzic? — dobiegł ze środka sali chichot. Kobiety zaciśnięły usta rękami, by nie wybuchnąć śmiechem.

Sosnowski omacał oczami środek sali, dowcipkowały śmiech nie wprowadził go z równowagi, zresztą wiedział, że wynikał nie ze złości, ale z ironii. I on się uśmiechnął mimochodem, ale natychmiast ruchem palca, jakby zmyślając uśmiech i jedną rękę przykrywając do piersi, drugą wyrzucając naprzód zaciśniętą, jakby chciał wtłoczyć wypowiedzianą

1. SPRAWA KRYTYKI

Książka Teodora Goździkiewicza „Lipnicki Świat” (1) to jeszcze jedna próba ukazania pełnego obrazu wsi przedwojennej. Książka Goździkiewicza jest książką „starą”. Powstała jeszcze w latach 1940 — 1941, jej akcja toczy się w Polsce przedwojennej.

Być może ocenianie jej według surowej miary współczesnej krytyki marksistowskiej byłoby nie bardzo „sprawiedliwe” dla autora. Tyleż przecież innych książek, nawet później napisanych, spotkało się z pochwałą krytyków i jako takie pokutują do dziś w świadomości mas czytelników, może tylko dlatego, że ta krytyka podziwiała się pod „marksistowską”, była w gruncie rzeczy krytyką ekлекtyczną, sięgającą po kryteria ocen do „bagażu dwudziestolecia”.

Z drugiej strony szeroki ruch rewidowania własnej i cudzej przeszłości twórczej, samokrytyki i krytyki, stawia dziś przed recenzentem zadanie nowego ustosunkowania się do dawnego dorobku pisarza i przyjęcia mu tą drogą z pomocą w skomplikowanym procesie przekształcania świadomości twórczej. „Krytyka marksistowska — zauważa Włodzimierz Sokorski — powinna świadomie zmniejszać dystans dzielący nas od pisarzy bezpartyjnych, przez rzeczowe i męskie naświetlenie obciążań i nawyków przeszłości, tych nawyków, które utrudniają im dojście do ukształtowania typu literatury, socjalistycznej” (2).

Nawiasem mówiąc, wydaje się, że nadszedł czas, by krytyce podali się i sami krytycy, zwłaszcza ci, którzy winni są zadośćuczynieniu oszołomianym przez siebie i utrzymywanych przez pochlebstwa na błędnej drodze, pisarzom. Ci, dla których „niezrozumiałostwo, pseudopsychologizm i bełkot egotyczny” wytknięte przez Sokorskiego, były przedmiotem smakoszkowskich, Lukullusowych uczt intelektualnych.

Spróbujmy więc w spojrzeniu na „Lipnicki Świat” uwzględnić perspektywę toczącej się właśnie na łamach prasy literackiej dyskusji oraz wyniki ostatniej konferencji literatów, a może, operując kryteriami realizmu socjalistycznego, uda nam się znaleźć odpowiedź na pytanie, czy i o ile postawa autora zajęta w tej książce mogłaby być dla niego punktem wyjścia w dalszej twórczości, do których wartości tej książki mogłaby w sposób twórczy nawiązywać, co zaś jest w niej owym „złym bagażem przeszłości”, który należałoby odrzucić.

1) Teodor Goździkiewicz: „Lipnicki Świat”. Książka i Wiedza, 1949.

2) Włodzimierz Sokorski: „Problematyka dyskusji literackich”. „Książka” Nr 9, 1950 r.

WŁADYSŁAW MACHEJEK

SOCJALISTYCZNA

prawdę we wszystkich towarzyszach, zaznaczył:

— Tak, zawsze wyniki zależą od człowieka. No, ja przez to jestem winien, ale nadrobię... Na przykład — „Akwa” jak chodziła z miotem, nie przypilnowałem. Wypuściłem raz do okólnika, sparły się dwie w drzewkach i „Akwa” odarła brzuch. Wiedziałem, że będzie źle. I stało się źle. Tylko dwa małe z niej dobre, dziesięć szmle. To znaczy, że mógłbym być łatwo za półroczną przekroczyć plan, gdyby nie moja nieuwaga.

Zrobił pauzę i zaraz zapytał: — Jaki z tego, towarzysze, wniosek? Że trzeba lepiej pilnować maciory... Że ja muszę ściśle się trzymać przepisów, by maciory w drugim półroczu wydały jak najwięcej. Ja muszę wykonać zobowiązanie!

Rzucił hasło dla osobistej realizacji. Podjęł je jednak wszyscy.

— Pewnie, że musisz — odczytnięto z aplauzem. Oborowy Parys wyszczerzył zęby do swej pomocnicy Barczakówny. — Stary, ale jary do roboty, prawdziwy towarzysz.

A z tyłu ktoś jeszcze rzucił, dopingując.

Jakby poszkapił, wstyd był nam wszystkim zrobił.

Sosnowski przeszedł do drugiego rozdziału swego przemówienia. Praktyka wykaże, że jest możliwe osiągnięcie dwudziestu dwóch prosiat od maciory rocznie przy czterech miotach na dwa lata. Ale można na pewno i więcej, ino trzeba pomyśleć dobrze... A trzeba myśleć! Państwo wola o więcej mięsa: ilość pogłowia nierogacizny wzrosła, jeśli się rozszerzy i udoskonalą wychów prosiat. Tak na przykład prosta szwiniarnica Stecenko z kolchozu imienia Woroszyłowa na Ukrainie zobowiązała się dać od każdej z powierzonych jej

maciory 27 prosiat rocznie. I to samo jest możliwe w Chyszowie i wszędzie w Polsce.

— Niemożliwe! — przeciał rozważania zupełnie niespodziewanie administrator, przysadkowany, czarny. Gniewnie zapalił papierosa, postawiając i siadając z powrotem.

Zebrań otworzyli usta, wzrok skierował się na Sosnowskiego. Pokiwał głową i zaśmiał się ironicznie. Znać było, że z uniemożliwieniem dawno skończył.

— A w Związku Radzieckim — możliwe? — spytał krótko administratora.

— Nie wiem...

— Ale ja wiem i powiem — odpalił zdecydowanie i począł powoli tłumaczyć: — Żadnych cudów kolchoźnika Stecenko nie będzie robić. Chłopska zdrowa głowa doszła do swej recepty. Trzeba odstawić prosiat od matek wcześniej, nie dopiero po 2 miesiącach. Maciory powinny się hukać już po 1 i pół miesiącu, to wtedy będzie pięć miotów przez dwa lata. Albo i inaczej — zamysłili się i zerknął na administratora, siedzącego w pierwszym rzędzie i kręcącego z dezaprobatą głową — można nie odstawić prosiat od cycek wcześniej, ale jak ino się maciory zechce kawalera, dopuścić ją, ale zwiększyć jej zaraz ilość i pozywność pokarmu. Bo jeśli nie — to prosiat wyjdą nierówne. I takim maciorem powinno się dawać trzy razy dnia, a nie dwa razy.

— Norma jest do żywienia i więcej wydać nie wolno — zastrzegł administrator, szczypląc nerwowo wąski wąsik, sterczący pod nosem, jak grudek ziemi.

— Rada Rolna postanowi, jak będzie trzeba — Sosnowski wytknął

palec, jakby chciał dosięgnąć opoenta. Ten zaciętrzewił się.

— A my to co? — odezwało się kilka głosów.

— Tylko do podpisywania? — spytał ktoś głośnie.

Twarz administratora spurpurowiała. Powstał nie wiadomo po co, namyślił się jednak i usiadł. — Wy wiecie swoje, a ja swoje — przedkładał dość niewyraźnie kompetencje.

— Nie kłóćcie się — dobiegła słusna uwaga z tyłu.

Naprzężenie niby zostało rozładowane, ale już dalszy ciąg narady nie kleił się. W drugim punkcie tow. Parys zadał sprawozdanie z akcji podnoszenia mleczności krow. Jest ich razem w Chyszowie dwadzieścia trzy. Niezgrany to zespół, niezgrany co do jakości i ilości. Taka „Tarcza” — rekordzista, daje po wycieleniu ponad 30 litrów dziennie, dochodzi w stosunku rocznym do siedmiu tysięcy litrów. A i ta była by zjedzona, gdyby nie interwencja na rynku. W porę odkupiono ją z rąk rzeźnika, bo skórka miała delikatniutką. Tak samo sprawa się miała z Ładną, Szewką, z większością krow dzisiaj obory.

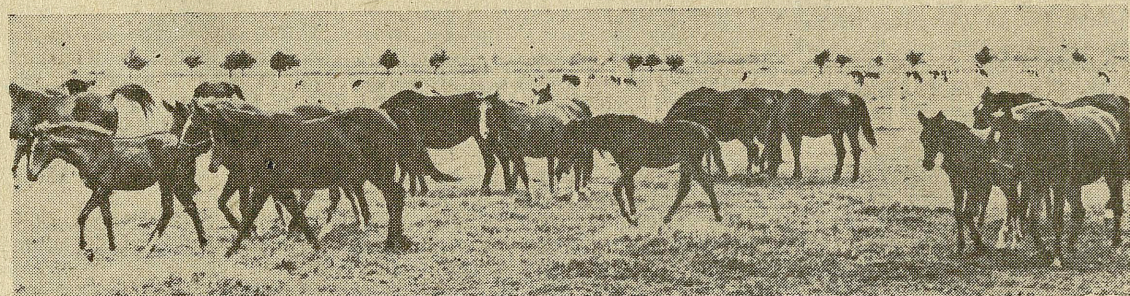
I tu Parys rozgadał się nie bardzo na temat. Przedstawiając rodowód krow, sięgnął do trudnych początków Chyszowa po wojnie. Mąjatek był zdezastowany, zostały tylko piękne budynki, kulawy kości i dwa prosiaki. Administrator Langer „ewakuował” krowy do Niemiec.

— Nie było w co rąk włożyć — wspominał również Parys. Po parcelacji została resztkówka 100 ha, ale coś ona warta bez warsztatu? Na pół wartości albo i mniej.

Rozkładał bezradnie ręce.

Rośnie stadnina P.G.R. Chyszów.

Fot. K. Jarochoński



Rośnie stadnina P.G.R. Chyszów.

Fot. K. Jarochoński

EDMUND NIZIURSKI

REALIZM ALE CZY

2. RZECZYWISTOŚĆ I METODA

Akcję powieści osadził autor we wsi Polskiej centralnej pod datą: czerwiec 1937 r. Ta data ma dla nas specjalne znaczenie. Są to czasy, gdy kryzys „oficjalnie” i może zbyt pochopnie „pochowany” w

mieście — „nieoficjalnie” prosperował sobie dalej na wsi, jakby z niej już nie miał nigdy odejść, wyradzała się w jakiś przerażający co trwały stan nędzy. Zwroćmy również uwagę, że czasy te, to jednocześnie okres zaostrzającej się walki klasowej, aktywizacji i radykalizacji ruchu chłopskiego, o czym świadczy fala strajków chłopskich, największa właśnie w 1937 r., to okres, gdy rewolucyjny nurt ruchu robotniczego pod przewodnictwem wywołanej już z błędów luksemburgizmu KPP po długim rozbiciu realizuje w praktyce w ramach Frontu Ludowego sojusz robotniczo — chłopski (3).

Zbadajmy, w jaki sposób rzeczywistość ta załamała się w kartach powieści.

Najpierw parę słów o metodzie pisarskiej Goździkiewicza. Uderzyć nas musi, że w „Lipnickim Świecie” nie jest niepodporządkowane jakimś jednemu nurtowi akcji zdążającej w określonym kierunku. To nie jest powieść typu balzakowskiego, gdzie pisarz daje obraz społeczeństwa jakby mimowoli, jako naturalny rezultat pokazania dziejów danego bohatera, którego los tylko i wyłącznie zdaje się pisarz zamykować. W powieści Goździkiewicza zadziergnięte konflikty nie rozwiązują się lecz wymierają naturalną śmiercią, grzeszą w czasie. Bohaterzy powieści poddają się losowi z rezygnacją, jaką przynosi przesvědzenie o beznadziejności walki. Akcja powieści nie odznacza się dynamicznością. Goździkiewiczowi nie chodzi o przedstawienie sprawy lecz tylko obrazu. Autor zabrał się do realizacji tego zamiaru twórczego fotografując poszczególne obiekty rzeczywistości wiejskiej, typy ludzi, ich czynności i ustawiając te obrazy obok siebie jak w albumie. Niekiedy wiązały się one w określony watek i wtedy otrzymujemy historię miłości Staśka Gajka do Kryszy Szymczakówny, nauczycielki Zofii Trzemeskiej do dziedzica Obrzyńskiego lub nauczyciela Rosinka do nauczycielki Władysławy, albo watek spółdzielni, którym dalej zajmie-

my się bliżej. Niekiedy jednak pozostają tylko piękną ilustracją wlepioną do albumu: takim obrazkiem upiększającym krajobraz geograficzny i społeczny Lipnicy jest np. rybak Spychała. Stąd obfitość watek w powieści jest pozorna, nie wynika bowiem z bogactwa akcji lecz z jej słabości i drugoplanowości w zamierzeniach twórcy autora. Gotowi jesteśmy za watek wziąć to, co jest zaledwie fotomontażem paru statycznych obrazów z życia wsi. Ujęcie takie dyktuje naturalizm zgodnie z metodą Zoli fotografowania rzeczywistości. Stąd ujęcie takie nosi w sobie i grzechy naturalizmu. Statyczność ujęcia, watość i zatrzymanie dynamiczności wiatku, brak właściwej selekcji materiału. Obok rysów ważkich i typowych dla Lipnicy, znajdujemy tam całą rękopięciami drobiazgowych notatek, a nawet całe partie nie nie wnoszące do obrazu wsi, np. miłość Trzemeskiej do dziedzica.

W tym miejscu warto zwrócić uwagę na drugą charakterystyczną cechę konstrukcji powieści. Powieść Goździkiewicza jest obrazem wsi, gdzie jeden z elementów rzeczywistości wiejskiej — nauczyciele — rozrósł się nieproporcjonalnie do innych. Przerost watek „nauczycielskich” wydaje się tym więcej nieuzasadniony, że ich wpływ na życie wsi, jakie pokazał autor jest znikomy. Ujęcie zresztą tych wateków nie wychodzi często spoza ram psychologii.

Tak wyglądałaby sprawa, gdybyśmy zgodnie z naszym założeniem chcieli w „Lipnickim Świecie” widzieć wyłącznie obraz wsi. Na upartej jednak możnaby książkę Goździkiewicza uważać również za książkę o nauczycielach wiejskich. A może za jedno i za drugie. Ze względu na ciężar gatunkowy problematyki zajmujemy się bliżej obrazem wsi w książce Goździkiewicza, traktując sprawę nauczycielstwa raczej jako rozdział psychologiczny, narodził na realistycznym organizmie powieści. Całe szczęście, talent Goździkiewicza sprawił, że nie jest to „nowotwór” zbyt... złośliwy.

3. LIPNICA — WIEŚ SPOKOJNA

Lipnica to wieś spokojna i „sielska”. Może za spokojna i za „sielska”. Po książkach „wiejskich” Kruczkowskiego, Kowalskiego czy Pogana, czytelnika przeniesionego w „Lipnicki Świat” zdumiewa to polityczne uciśnienie wsi Goździkiewicza. Jest to wieś bez działań politycznych, bez rozgrywek partyjnych, nawet bez politycz-

nych dyskusji, jakby wokół nie toczyła się ostra walka polityczna, jakby nie wzmagał się nacisk sąsiedzi. Jeśli natrafiamy na echa polityczne, są to echa dalekich wspomnień o fali ruchu chłopskiego nazajutrz po odzyskaniu niepodległości — przywoływane przez autora po to chyba, by podkreślić ich bezpowrotność, ich niemal legendarną odległość, by zaakcentować atmosferę beznadziejności i rezygnacji.

Oto co myśli na ten temat stary Gajek: „Wszędzie dwór i dwór — ziemię naokoło, łąki naokoło, lasy naokoło. Nie ruszysz się, żeby nie natrafił na dworskie dobro.”

A chłopcy co? Siedzi każdy na tych kilku i kilkunastu morgach i ani żyje, ani nie umiera. Orzą, sięgają, zbierają, przeczekiwają zimą, ale to i wszystko. Od dworu nie uciekniesz. Co to było kilkanaście lat temu krzyku: a sejm, a wiecie, a uchwały, a reformy! I co z tego wyszło? Co z tego jest? Wielkie gówno... Staremu Obrzyńskiemu groziło wywłaszczenie, a otrzymał pożyczkę. Zreperował dom, zakupił konia i co roku bierze grubą gotówkę, kiedy remont pobiorą dla wojska. A oni co? A oni co?”

Byłoby przesadą powiedzieć, że rzecz dzieje się w politycznej próżni. Goździkiewicz pokazał wieś zbyt wyraźnie rozwarstwową klasowo. Z pełną świadomością charakterystyce na przedstawicieli klas i w tej roli wprowadza do akcji bogacza wiejskiego „Osetka, średniaków ciężących ku bogaczom — Szymczaków, małorolnych Gajków i Cieślaków. Jest także szerego podmalowany proletariatus wiejski — bezrolni, bogactwo marginesowych, lecz ostro zarysowanych postaci szluga dworskich, parobków, wrobników. Z tradycyjnych postaci przedwojennej wsi znajdujemy nauczycieli, księdza i dziedzica. Autor bystro uwyppukla sojusz trójkąta: dziedzic, zacoany pleban i bogacz wiejski — reakcyjny triumwirat. Cały watek spółdzielni służy do przedstawienia układu i zmagania sił klasowych. Tu krzyżują się i ścierają prądy społeczne nurtujące wieś. Spółdzielnia jest platformą, na której stykają się niemal wszyscy bohaterowie powieści — platformą, która za zasłoną solidarystycznych hasel staje się areną bezwzględnej walki klasowej. Ale te wszystkie rozgrywki klasowe są w ujęciu autora jakies autonomiczne i naturalne, nie inspirowane przez żadną doktrynę polityczną, po prostu zaszajają się tylko na „instynktach klasowych”, na grubej kalkulacji,

ZAŁOGA PGR-u

2-ga nagroda

— I dopiero nas Partia w kupę wzięła — głosił akordem. Stwierdził właściwą, ludową dźwięgnę postępu w majątkach państwowych. Partia dała się ruchu naprzód. Partia, która każe zwyciężyć nie dla idiotycznej chimery czy pańskiej fantazji, ale dla zaprowadzenia powszechnej sprawiedliwości. Poszedł Sosnowski ze swoją chromą nogą, poszli inni do Komitetu Powiatowego Partii w Tarnowie. Poszli za grzmiącym natchnieniem jakichś wspólnych czynów. Jedne wojska zdobywały Wrocław, drugie przygotowywały się do wypalenia legowiska gada hitlerowskiego, a oni co? O ich świat walczono bez nich? Przyszli do Komitetu i powiedzieli: chcemy walczyć o wielkie sprawy! Jak to, rewolucję robicie bez nas, bez proletariatu wiejskiego?

Cóż im na to powiedział sekretarz Komitetu Powiatowego?

— Rewolucja polega przecież na dotarciu zmian do najmniejszych komórek, rewolucja polega na zmniejszeniu życia wszędzie, we wszystkim. Na miejscu zmieniajcie życie. Twórzcie komórkę PPR, niech ona będzie mózgiem nowego życia, niech zamienia majątek w Chyszowie w ośrodek kultury i postępu. Niech służy chłopom za przykład.

Wróćcie, założyciel komórek PPR z najlepszych robotników, gotowych służyć Partii, w każdej chwili, na każde zawołanie. Zaczęli od niczego gospodarke w Chyszowie. Może i lepiej, bo początkiem, najcenniejszym wianem był zapłak. Tak sklejona podkomórka trwała jest od pięćdziesiąt.

— Ja będę świnie chował — powiedział na zebraniu tow. Sosnowski.

Co ty się znasz na tym — próbowa-

wano go po przyjacielsku wyśmiać. — Ludzka rzecz nauczyć się — brzmiała uparta odpowiedź. Pewnie, że będę hodował inaczej, nie tak jak ojciec, co chował w czworakach pod wykrkiem i żywił ino zielskiem. — Ja będę krowy chował — zgłosił się drugi Parys. — Byłem dotąd polowym, ale coż to za polowy na 100 ha? A tu krow nie ma, trzeba oborę jak najprędzej skleić, żeby ludzie mleka mieli i państwo korzyść.

Tak dobił się w dłuższym referowaniu tow. Parys do swego problemu. Jeździł z administratorem Zarowem po jarmarkach, spod noża wyrzucił zaniedbane, ale rojące wysokie korzyści krowy. A później krok dalej. Podnieść mleczność przez racjonalne żywienie! I stąd realne zobowiązanie — 4500 litrów rocznie przeciętnie od krowy. Realne, bo pierwsze półrocze dało już 51 proc., mimo, że nawet połowa krow się nie wycieliła jeszcze.

To oświadczenie zostało przyjęte oklaskami.

— Zuch Parys!

— Lubi mleko, nie wódkę, to i stara się. Nie dziwota!

Tow. Parys skłonił się i zeszedł z podium. W dalszym punkcie stała sprawa wzajemnych stosunków Rady Rolnej i administracji. Niedobrze się na tym odcinku dzieje z wyrażeniem szkoda dla Chyszowa. Niech nikogo nie wprowadza w upojenie przedownictwo Chyszowa, ponad obecne wyniki i sukcesy można jeszcze bardziej wyskoczyć. Zwyczajnie, szare robotnicze twarze zarumieniły się. Zagadnienie przeszło przez małą salę rozmienianymi ruchami głów i rąk; odbyło się wyraźnie, jak w falowaniu wody do której wrzucano kamień. Robotnicy współ-

odpowiadają za majątek i nie chcą być też współodpowiedzialności tylko figurantami. Administratorowi na pewno pociemniało w szybko latających oczach do szybkiego bicia serca. Popatrzył w okno: ciemno. A tu syfali się, jak z długo zbieranego wora nagłe myśli, odważne domysły, wyrzuty, gorąco nacierały, ścigały się. Nie, nie może być dwóch dróg w jednym majątku, bo nie ma dwóch prawd. Jest prawda prostych, może nawet za prostactkich słów, nie bawiących się w dyplomację, jest prawda łaknących lepszego oczu i twarzy. Po drugiej stronie jest błąd. Opierał się jednak temu stwierdzeniu, stare nawyki górowały. Męczył hamował wybuch.

Znow mówił tow. Sosnowski. Nachylał się z podium nad pierwszy rząd krzesel, gdzie siedziała administracja zespołu. Spod wypukłości czoła bił wzrok nieubłagany.

— Na przykład premie... Pan dyrektor chce dawać swoim wybranym... A może tylko taki domysł? — rozłożył ręce. Ale ten domysł pan dyrektor sam pcha mi do gęby, bo nie pyta się w niczym Rady, omija ją, jakby to był wróg.

— Dowód, dowód! — krzyknął administrator.

— Dowód? Masz pan pierwszy dowód: za co pan dał traktorystę premie? Za to, że głównie w traktorze spalił? 15.000 trzeba było zapłacić za to. Czyje to pieniądze? Państwowe, nasze! Czy ktoś sprawdził winę traktorzysty? Nie! A trzeba było. Ale pan dyrektor nie chciał. Albo kto to widział kazać polowemu wsiąść na traktor i jeździć, kto to widział? Że furą potrafi jeździć, to traktorem też? Zwracalem uwagę, to mi dyrektor odszczeknął: nie wasza głowa, Sosnowski, ja odpow-

wiadam. A odpowiada? — zadał pytanie. Nie chce odpowiadać. Bo jak polowy na tym traktorze wjechał na rowerzystę i rozbił rower, to nie wyjął pan dyrektora z własnej kieszeni odszkodowania, ale otworzył kasę i dał z kasy... Z czyjej kasy? Z naszej kasy, towarzysze!

Administrator nie dawał za wygraną.

— Tom ja najgorszy, wy najlepszy? — spytał surowo.

— Nikt tego nie powiedział. Ja się już do win przyznałem, a pan nie chce — odpowiedział Sosnowski. Ale...

— Tu obywatel Parys mówił o krowach — znow upadł w słowa Sosnowskiego administrator — czyjaż to zasługa?

— Między innymi wasza, panie dyrektorze. Wyśta umieli otaksować jakość — przyznał bez zażenowania Sosnowski.

— A to, że omłóciłmy przeszło 30 kwintali pszenicy z ha, to czyja zasługa?

— Wasza i nasza.

— A to, że w tamtym roku było buraków 850 kwintali z ha?

— Wasza i nasza zasługa.

— No?

— To znaczy — precyzował wniosek tow. Sosnowski — że przy zgodnej współpracy stać nas na bardzo dobre wyniki, gdzie jej nie ma, tej współpracy, to się wszystko rozlaź.

— Prawdę mówię — poparto Sosnowskiego.

— Święta prawda — większość zebranych podchwyciła.

Administrator stracił głowę. Wisi nad nim nieubłagane, wąskie czoło Sosnowskiego.

Nie był do końca zebrania tow. Sosnowski, gdyż jak wiatr wpadła na salę jego żona w ciężkich buciorach i głośno wydyszała.

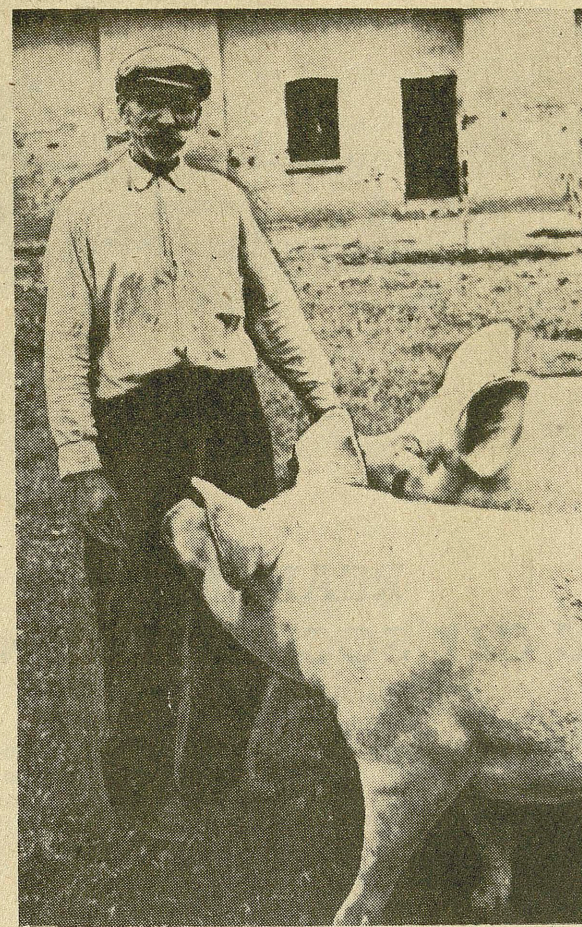
— Józku, „Dina” zaczyna się! Sosnowski poderwał się i objął:

Ostatni młot w tym roku. Zbaczmy ile da... — mówił z pewnym niepokojem. Ale da, dużo da — znow się publicznie uspakajał. Gdy była pierwszaka, to dała już dzieć, teraz stać ją na dwanaście. Każde prosiło było drogie, zbliżało do wyznaczonych ponadnormy. Nadzieje podtrzymywało kilko głosów.

„Dina” niespokojnie rozrzucała słomę wokół siebie. Sosnowski miarkował, że widocznie prosiaki zrosły na schwał w brzuchu maciory. Pierwszego schwył w rękę (zanim wrzucił do kosza, wyścielonego miękkim i ciepłym siano) i ważył.

— Ponad kilo — obwieścił.

— Nie dziw — odparła Sosnowska — knur jak ogier. Knur to waż-



Tow. Józef Sosnowski przodownik pracy na P.G.R. w Chyszowie
Fot. K. Jarochoński

na rzecz, musi mieć dobre rozwinięte mięskły. A nasz właśnie taki... A jakby się go trzymało w ciastym chlewiku, to nie z jego siły. I nie trza go ckać ino ziemniakami, trza dawać owies i jęczmień.

Sosnowski pokręcił głową.

— Skądże ty już tyle nauki nabrałaś?

— A od ciebie — zaśmiała się przypochlebnie.

Sosnowski wyglądał z zadowoleniem wasy, burknął jednak.

— Ty głupia schlebiaczko, przynieś szczypczyki, trza tym małym ulamać koniuszki kiełków, bo pomamra starej wymię. Aha, i pójkę zrób dla niej z otrąb.

Nie tylko żona chwaliła Sosnowskiego za inżynierstwo w hodowli macior i wychowie prosiat. Sława PGR Chyszów, sława jak promienie z ogniska kultury rolnej rozbiegające się po okolicznych wioskach, jest sławą po części tow. Sosnowskiego. Przy kłopotach hodowlanych jego wyzują po poradę. W opisywanym dniu, a właściwie po opisywanej nocy, po przyjęciu dwunastu prosiat od „Diny” został Sosnowski zaproszony do obory Miszczyka, średniorolnego chłopca w tej wiosce. Powiadomiony poszedł chętnie poradzić. W drodze do chlewika Miszczyk objaśnił, że jego maciora jedno zagniotła, drugie potarasiła, że ino, ino ziple.

W ciastym, mokrym chlewiku stała wychudzona maciora, podniesionymi pyszczkami tarmosiła ją za dołki małe zapeziałki.

— Hm, tu jest ciemno — dociekał przyczyn zagniecenia Sosnowski. — Trza, żeby się w pierwszych dwóch tygodniach świeciło. Wtedy maciora widzi swoje małe. A później to one są silniejsze, zwinniejsze, zawsze uciekają, gdy się maciora kładzie. Ile one mają?

— Dwa tygodnie.

— Ja też mam takie po „Wybornej”. Będę dokarmiał... Chcecie mieć, Miszczyk, dobre prosiat na chów i sprzedaż, także dokarmiajcie. Ja już od jutra będę robił tak: do korytka wleję dla wszystkich trochę mleka i do tego dwie trzecie wody, ciepłej wody. I jeszcze kilka rozgotowanych ziemniaków i garść palonego jęczmienia lub owsa. Po czterech tygodniach chowu już na każde będą obliczać po 25 deka śrutę jęczmiennej albo kukurydzianej, 1/2 kilo ziemniaków gotowanych i 1/2 litra mleka. Jeszcze tydzień po tym i znow o połowę zwiększę dawki. Aha, i dawać trochę węgla. Nie będą ryc.

Odszedł z przekonaniem spełnionego obowiązku. Czekala na niego w Pegereze nowa robota. Radosna i zarazem smutna. Radosna, bo oddawał do tuczarni w Tuchowie jedenaście prosiat dwumiesięcznych, a więc powiększał perspektywę produkcji mięsa (oddaj już ok. 150 procent); smutna, bo z każdym świniem stworzonkiem Sosnowski żywał się, jak z człowiekiem, boleśnie przeżywał rozstanie. Nie też dziwnego, że często zdarzały się ostre scysy z odbiorcami o byle co. Na przykład w ten dzień... Przyniósł pierwszego wychowanka na wagę. Wyglądał różowo i weselo, jak to się ogląda na wystawach wielkanocnych w masarniach. Odbiorca z Tuchowa, zapany młodziak szybko ślizgał ręką po tarze.

— Dwadzieścia kilo — oznajmił. Sosnowski przesunął się w przód i podejrziwie spojrzął na wahał. Delikatnie przesunął tarę.

— I trzydzieści deka — poprawił z oburzeniem.

— Śmieszna poprawka — zauważył młokos i wydał pogardliwie war-gi.

— Dla pana śmieszna, dla mnie nie. Te trzydzieści deka ma swoje znaczenie, trza się było bić o nie. Towarzysze jestem — dodał dumnie.

Dumnie nosił, że czciga starego rewolucjonisty swój tytuł przyznałności do Partii. Ona każe członkom swoim przemieniać Chyszów we wzorowe, socjalistyczne gospodarstwo, świecące przykładem wyższości pracy zespołowej nad indywidualną. Partia każe iść wbrew chwilo-

wym oporom z pochodnią oświaty na wieś. Dlatego też, gdy na zebraniu Podstawowej Organizacji Partyjnej Stach Porosły referując sprawę wykładów dla ZSCH w Chyszowie, wykladał rolniczo - oświatowych, prowadzonych przez towarzyszy z PGR-u, celem podniesienia warunków i dochodowości gospodarstw chłopskich z zaskopowaniem dodał, że nie widzi jakoś możliwości przeciwdziałania kontrpropagandzie księdza i zakonnic, Sosnowski zaśmiał się na całe gardło.

— Trzeba umieć usadzić księdza, żeby se usiadł spokojnie i pilnował otłazta. Jak?

Zmrużył oczy i przypomniał swoją rozmowę z księdzem kanonikiem Marcinkiem Florkiem. Ksiądz pytał Sosnowskiego, czy to prawda, że przedtem pracował w karwińskim węglu. Tak, prawda — odpowiedział Sosnowski. Ksiądz poczęstował parafianina dobrym papierosem i konfidencjonalnie rzucił szkic układu.

— Po co wam, Józefie, głębię se strzebić z chłopami... Niby to bezpartyjna ta Samopomoc Chłopska, ale po takich wykładach zmienia się wszystko... (Ksiądz rozsiadł się nie za żart). Postrzeżone szare ubranie to tylko na pokaz, a pod nimi już czerwone gacie. Pfu, to nie chrześcijaństwo, to narybek na komunistów.

Ksiądz kanonik strzykał pianą przez złote wąsy. Znow gwałtownie. Po co ich uczyć? Cóż to gęba — rzemień? Po co gadacie, że węgiel jest starszy, niż księga ucza o starości świata? A młodym tylko w te nowinki graj! Zlatują się do was i wypytują, czy wobec tego mogły być węgiel bez świata. I tak dalej... Że nie prawda, że święta Kinga przyniosła pierścionki do Wieliczki, ale że sól powstała... że sól przyniosła fale morskie. Po co te mądrości chłopom? Czy wam kto za to płaci? A ja mogłbym wam z meterek pszenicznki — łakomki lisio.

Sosnowski wzdrygnął się. — Nie, nie! To służba towarzyszy — uczył! Czysciutki paluszek dotknął krawata Sosnowskiego.

— Czer-wo-ny... — powiedział z przekąsem.

— Co, nieładny kolor? — zdziwił się Sosnowski. — A Chrystus to w jaką płachtę był odziany, gdy szedł na Golgotę.

— No, no... — protestował ksiądz przeciw porównaniu. — Chrystus przelewał krew.

— A lud to wodę?

Ksiądz zlapał się za głowę. Mglistą strach obsiadła oczy.

— O, gdybym miał takich więcej w parafii — trząsł się — to by mi się parafia w miesiąc rozleciała.

— Dlaczego rozleciała? — zdziwił się znow Sosnowski. — Najwyżej ksiądz nie mógłby bałamucić. Partia nie walczy z religią, walczy i walczyć będzie tylko z niektórymi księżami - politykierami.

Opowiedział zając się z księdzem kanonikiem w Olszynie po to, by uczył odkrywać jego podjadzy. Oborowy Parys, który czasem się chwiał na widok sutanny, uzmysłowiwszy sobie metody wrogów, poczuł obrzydzenie. Zazwyczaj takie uczucie kończyło się u niego wybuchem wściekłości. Chuda twarz biła w okno rozpalonymi oczami.

— A co, pomagali nam kto zrobić to?!

— Za oknem w okólniku brykała stadnina klaczy, złożona z 60 sztuk. Łaciata krowy, wracając od studni, obwachiwały końskie pyski przez drewniane żerdzie. Ocieżałym krokiem wracali do obory. Parys krzyczał dalej.

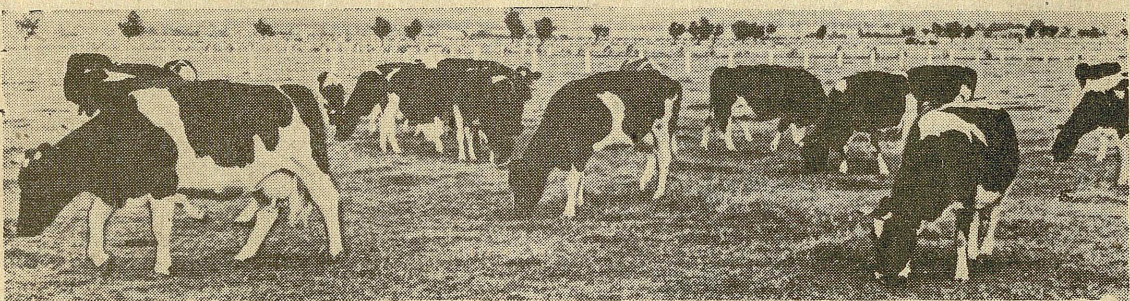
— I właśnie my poprosimy naszego polowego, żeby wykladał chłopom o plodowianach według Williama. Grodowski bezpartyjny, ale też mu zależy, żeby było dobrze i jasno.

— Ambitna załoga — mruknął z uznaniem reportażysta.

Tow. Sosnowski położył na pierśsiach rękę szeroką, jak pajda chleba.

— Wszystko serce...

WŁADYSŁAW MACHEJEK



Krowy P.G.R. Chyszów

Fot. K. Jarochoński

SOCJALISTYCZNY?

nie wypływają z żadnego politycznego uświadomienia. To chyba instynkt klasowy i kalkulacja: każe bogaczowi Osetkowi niechętnie ustosunkować się do spółdzielni i słuchać proboszcza nie tylko z tradycyjnego nawyku, ale i z wyczuwanej wspólnoty interesów. Nie widąc połączenia lipnickich rozgrywek z całokształtem walki klasowej w kraju, nie widząc nicy, którymi „mała” reakcja lipnicka wiązałaaby się z „dużą” reakcją z salonów warszawskich. Nie natrafia się w powieści na żaden określony ślad reżimu.

W pewnym miejscu powieści dowiadujemy się, że „oficjalne czynniki” wpłynęły na zlikwidowanie kółka młodzieży. Szkoda jednak, że autor nie nazwał tych czynników po imieniu, nie pokazał, jak działa mechanizm tych „wpływów”. Może przydałby się choć cieniutki zarys państwowej władzy i — ucisku, policjanta granatowego i sekwestrata, może choć echo współczesnych ruchów chłopskich — „posiewu przyszłości”. A tak powieść pozostanie niepełna jak niepełnym będzie obraz wsi ograniczony do jej wewnętrznych, „fizjologicznych” spraw, wsi wyizolowanej, wyciętej z mapy kraju. Właśnie, żeby dać pełny obraz danej wsi, trzeba z niej koniecznie wyjść, umocować ją w sieci ruchów i zmagani ogólnokrajowych, pokazać kota napędowe działającej wsi maszynierii wyzysku.

Jedynym postępowym bohaterem powieści jest Stasiek Gajek. Postępowym ale nie pozytywnym. Dlaczego pionierem postępu na wsi i nowatorem czyni autor byłego nożownika, młodzieńca o łobuzerskiej przeszłości? Wytłumaczenie może być tylko jedno. W ten sposób łatwiej będzie uzasadnić autorowi niepowodzenie Staska, niechęć wsi i brak szacunku dla niego. A może wymagał tego naturalistyczny kolorystyczny powieści? Niechęć pisarza do pozytywnego bohatera — spadek po dwudziestowieciu, kiedy pozytywny bohater wydawał się nierealny, kiedy, jak to wyznał podobno jeden z czołowych pisarzy tego okresu, czasami autor naumyślnie zohydzał rzeczywistość, by uczynić ją bardziej prawdopodobną — w książce.

Lecz czy są to chwytły dozwolone? Zastępa Goździkiewicza jest niewątpliwie, że przekroczył sięgający jeszcze Żeromskiego schemat społeczników intelektualnych działających wśród ludu. U Goździkie-

wicza inteligencja — nauczyciele, to ludzie pozbawieni zupełnie ambicji apostołskich. Nowatorem staje się natomiast chłopak wiejski — Stasiek. Niestety, musimy mieć pretensje do autora, że tak mizerne wyposażenie w ładunek ideologiczny swojego bohatera, że Stasiek jest jakiś politycznie niedoświadczony. A przecież miał reprezentować to, co we wsi było najlepszym. Jego niejasna niechęć do dworu i plebanii to niewiele. Nie wiemy nawet, w jakim stopniu założenie kółka młodzieżowego i spółdzielni było wynikiem zwykłego naśladownictwa i ambicji, a w jakim dojrzałości światopoglądowej.

Dwa tylko wydarzenia o charakterze postępowym zamęczyły na pewien czas „sielanek” Lipnicy. Pierwsze z nich to zorganizowanie przez Staska kółka młodzieży wiejskiej. Kółko miało żywot niedługi. Zostało zlikwidowane przez frontalny atak reakcji. „Miejscowe czynnik” skłoniły księdza a ksiądz nauczyciela do podjęcia ostrej kampanii przeciwko nowatorom. Kampania przyniosła zwycięstwo. — Na wiosnę następnego roku — czytamy — ksiądz Maliszewski dobił przez indywidualne spowiedzi ostatnich kółkowiczów”. Nie wywnioskuj się wtedy o powieści i główny winowajca — Gajek.

Drugim postępowym wydarzeniem w życiu wsi było założenie spółdzielni. Tym razem sprawa stała się zbyt poważna i popularna na wsi, by można ją było zaatakować od frontu. „Konserva” lipnicka zmieniła taktykę. Nie mogąc zniszczyć spółdzielni, tak jak zniszczyła kółko młodzieży, oparowała ją od wewnątrz. W tym celu ksiądz Maliszewski mobilizuje do pracy „społecznej” bogacza wiejskiego Osetka. „Wy jako małżak katolicki, do którego mam pełne zaufanie musicie się więcej we wsi udzielać. Myślałem nad tym ostatnimi czasami i doszedłem do przekonania, że trza wam zapisać się do spółdzielni. Tam musi być pewni ludzie jak najwięcej. Może trza będzie zmienić prezesa, może co innego, więc powinien tam być człowiek nasz: poważny, solidny, bogobojny, katolicki...”. W wyniku wyborów do zarządu wchodzi do zarządu jak prezes i bogacz wiejski Osetek. Oto co się stało z ideą spółdzielczości w Lipnicy. Została zasymilowana i wchłonięta przez wroga klasowego. Niebezpieczeństwo ruchu oddolnego zostało zażegnane. Tak neutralizowana i rozładowana z potencjału

klasowego spółdzielni nie jest oczywiście zdolna w najmniejszym stopniu zmienić życie wsi. „Przyzwyczajono się do niej, — czytamy — każdy dzień powszedni oskubywał ją z półek nadzwyczajności, wrastała w wies coraz bardziej swojska, pospolita, sąsiadka, traciła nimb tej grozy, jaką koło niej starali się stworzyć jej przeciwnicy”. Otoż to! Zamiast stać się krokiem na drodze usamodzielenia materialnego ubogich chłopów, spółdzielnia przerodziła się w jeszcze jedną „swojską” instytucję, przez którą reakcja umacniała swe wpływy i panowanie. Tyle zapisać należy na konto reakcji. W jakim stopniu klasowości ówczesnej spółdzielczości sama prawokowała taki obrót sprawy to rzecz inna.

4. KAPITULANCI

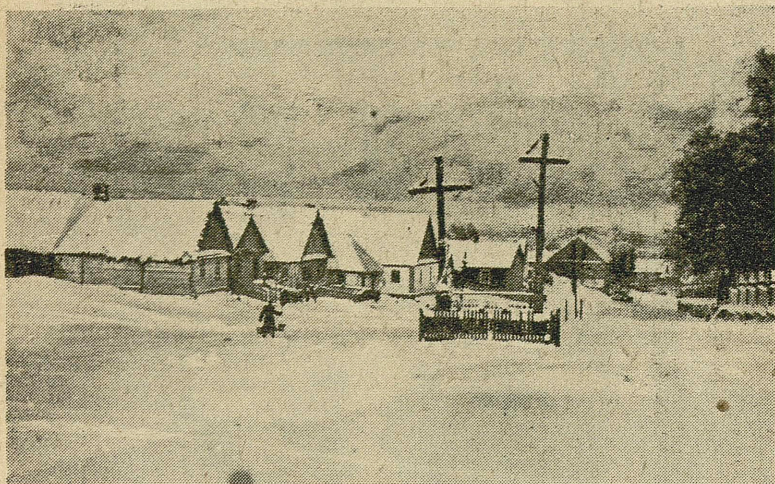
Nad powieścią Goździkiewicza unosią się opary beznadziejności i pesymizmu. Lecz jest to pesymizm szczególnego rodzaju. Powieściarz, pesymizm oddramatyzowany przez stoicyzm autora, przez przekucie nadziei, że tak być musi, że nie ma rady na zło, jakby kapitalistyczny porządek, był porządkiem „naturalnym”, a podział klasowy niewzruszalnym. W przedstawionym przez siebie obrazie nie widział Goździkiewicz możliwości ani sposobów korektur.

Wszelki realizm na miarę mieszczańska, a takim jest mimo wszystko realizm, jaki reprezentuje w „Lipnickim Świecie” Goździkiewicz, osiąga jako „premie” za „wierną” podobiznę świata najwyższej wrażliwości — jedynego co dla świata przeznaczonego na zgubę jest osiągalne.

Epoka, w której umieścił Goździkiewicz akcję swej powieści jest też postawą zarówno usprawiedliwieniem jak oskarżeniem. Usprawiedliwieniem, ponieważ sytuacja mała i średniorolnych chłopów w 1937 roku była gorsza, niż tych z „Grzmiejącej” w 1918. Nie tylko ekonomicznie. W 1918 roku żyły nadzieje na reformy. Wtedy wydawało się mieć realne podstawy złudzenie, że odradzające się państwo rozwiąże kwestię chłopską w duchu demokracji. W 1937 roku tych złudzeń już nikt nie miał. Ten więc, kto nie widział lub nie chciał widzieć rosnących sił rewolucyjnych i przepelniających się rezerwuaruntu „Z”, kto nie chciał

*) Patr.: Z. Wasilewski: „Powieść o rozłamie ruchu ludowego”. Wiesz Nr 49, 1949 r.

(Dokończenie na str. 6-iej)



REALIZM ALE CZY SOCJALISTYCZNY?

(dokonczenie ze str. 5)

Jedną z nielicznych rozrywek na wsi.

Odrębnie potraktował autor kierownika szkoły Krawczyka, śmieszniego niedołęgłego, wychowanego niedołą na bezklasowej pożywce ułaskawskiego patriotyzmu, dziś gruntnie wypranego przez życie z wszelkich ideałów i złudzeń. Jedyną jego namiętnością jest hodowla gołębi. Dramat rodzinny (porzucenie żony, by zostać dziedzicową utrzymaną) zmusza Krawczyka do analizowania własnej przeszłości. Stary ramol stwierdza, że jest życiowym bankrutem. Nie wykonał ślubowania młodości. Nie budził, ani nie utrzymywał polskości wśród ludu, przeciwnie, był uległym narządem carskim w dziele rusyfikacji. Nawet jednak w chwili rachunku sumienia i samokrytyki nie potrafi Krawczyk zrozumieć, że najcięższe przestępstwa przeciw ślubowaniu dopuścił się stosunkowo niedawno — gdy zdradził Gajka i zniszczył jego koło młodzieży. Nie był w stanie uprzytomnić sobie, że budzić i utrzymywać polskość, to w warunkach lipnickich budzić i utrzymywać ruch ludowy, ruch tych, którzy jutro stanowią błądą Polskę. Ale to były dla niego skrajności zbyt dalekie. Dla Krawczyka „budzić w chłopach polskość to mówić im o dawnych ryercach, bohaterach i hetmanach, a tu koło młodzieży w Lipnicy i Gajku”. Krawczyk jest wyraźnym przedstawicielem całej inteligencji z ludu, lecz straconej dla ludu, inteligencji zarządzonej obokklasową ideologią, dla której polskość to szlachectwo — tak przecież uczył Krawczyka książka, a z nich — cała jego wiedza. Ostatnie zagadnienie swego życia rozwiąże przeto również na sposób książkowy i, powiedzmy wyraźnie, na jaki go jedynie stać. Dla zmażania win przestępstwa weźmie na wychowanie zdolnego chłopca, syna wyrobnika wiejskiego, Jasia Spychała.

Innego rodzaju dramat przeżywa młoda nauczycielka Zofia Trzemeska. Wychowana przez zakonnicę w świecie fałszu i idealistycznych mitów, nie zna i nie rozumie życia, cierpi w zetknięciu z surową rzeczywistością wiejską. Gdy w dodatku jej melodramatyczna miłość do obszarńnika Obrzyńskiego zakończy się nieszczęśliwie, Trzemeska załamie się i porzuci Lipnicę.

Jedyna „para młodych”, dla których autor przygotował „happy end”, to nauczyciele Rosinek i pani Władysława. Nie daje nam jednak autor gwarancji, że nie czeka ich w przyszłości los Krawczyków.

5. BILANS FOTOGRAFA

Goździkiewicz przeszedł niemałą ewolucję artystyczną od czasu pierwszej swojej powieści „Głosy z daleka” wydanej w 1938 r. W „Lipnickim świecie” porusza się już jak realista o dużym talencie epickim. Szkoda, że jest to realizm na miarę mieszczański. Goździkiewicz nie dostrzega dialektycznego rozwoju rzeczywistości. Rozpatruje ją w sposób niemal statyczny. On tylko notuje to, co w danym momencie rzuca mu się w oczy, co w danej chwili dominuje. Lecz drogę rozwojowych nie potrafi już wskazać. Stąd wrażenie załamania fali rewolucyjnej, uciśnienia politycznego, skostnienia życia społecznego wsi. Stąd zapewne niezamierzone przez autora wrażenie o bezcelowości wysiłków, o niewzruszalności starych praw i układu klasowego. A przecież, jak zaznaczyliśmy,

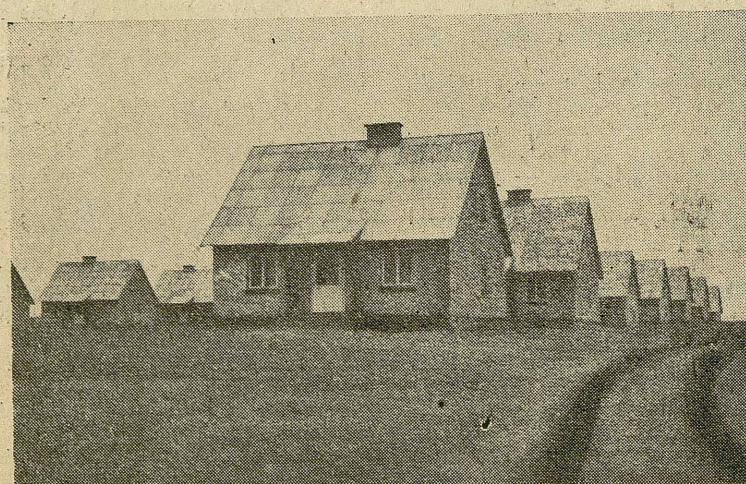
sytuacja ogólna bynajmniej nie usprawiedliwiała takiego stanowiska; był to właśnie okres wzmożonego ruchu proletariackiego i kształtowania się świadomości politycznej mas chłopskich na szerokiej fali strajków. To, że w centralnej Polsce ruch ludowy nie był tak silny, jak np. w b. Galicji, pozornie tylko usprawiedliwiać może „Lipnicki świat”, w rzeczywistości, opierając się na założeniach twórczych realizmu socjalistycznego, z tym większą skrupulatnością i pilnością winien autor doszukiwać się w zacofanej Lipnicy owego postępu przyszłości. Tym większą opieką winien w swoim ogródku realizmu otoczyć kielkujące ziarno przyszłych przemian. „Pisarz — mówił Zdanow — nie może wleść się w ogień wydarzeń, musi krocząc w pierwszych szeregach mas ludowych, ukazując narodowi drogi jego rozwoju. W oparciu o metodę realizmu socjalistycznego, sumiennie i dokładnie badając naszą rzeczywistość, starając się głębiej wnikać w istotę procesów naszego rozwoju — pisarz winien wychowywać naród i uzbrajać go ideologicznie”. Goździkiewicz spóźnił się o tyle, o ile spóźnia się zawsze fotograf wywołujący zdjęcie pociągu, który już dawno umknął.

Istotą życia społecznego jest ruch rozwojowy odbywający się w ciągłej walce starego z nowym. Stąd prawdziwym obrazem życia może być tylko obraz „dynamiczny”. Otrzymał go można pokazując właśnie ten rozwijający się, często dla przegadnego widza mało widoczny, kielik przemian — istotny element rzeczywistości. Z niego rozwijnie się przyszłość. „Prawda nie jest martwą fotografią rzeczywistości, rzekomo wiernej, gdy odchodzi to, co umiera — stwierdził min. Berman na konferencji pisarzy. — Prawda jest jedna — tego co rośnie, tego co zwycięża, tego co jest wyższą formą społecznego życia”.

Wyjaśniliśmy, na czym polega „zły bagaż przeszłości” u Goździkiewicza. Z drugiej strony na saldo dodatnie autora księgujemy klasowe widzenie społeczeństwa, wywołanie się z formalistycznych obciążań i psychologizacyjnych nałogów. Dodajmy jeszcze prostotę stylu, pogłębioną przez język szczególnie oddający mowę ludzi wiejskich nie przez czysto fonetyczny i powierzchowny a zawsze rzyrkowny „autentyzm gwarowy”, lecz przez uchwycenie charakterystycznych właściwości składniowych. „Lipnicki świat” pozwala żywić nadzieję, że Goździkiewicz po przezwyciężeniu nie marksistowskiego naturalistycznego stosunku do rzeczywistości mógłby nareszcie zrealizować mit dobrej książki o wsi.

Jeśli zaś chodzi o „Lipnicki świat” — razem z jego niefortunną spółdzielnią i pesymizmem, sądzimy, że dzisiejszy czytelnik może go czytać bez obawy popadnięcia w melancholię. Skuteczną bronią przeciwko pesymizmowi i zaprzeczaniem idei beznadziejności powieści na pewno będzie istniejąca dziś w Lipnicy spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” a może i... spółdzielnia produkcyjna. Książka Goździkiewicza nosi już dziś piętno „historii”. Rzeczywistość dzisiejsza to dla niej nieprzezwyciężalna (oto istota błędu!) niespodzianka, ale oddajmy sprawiedliwość autorowi — niespodzianka radosna.

EDMUND NIZIURSKI



fol. St. Dziubiński

ZOFIA RZEPLIŃSKA

NIEMIECKA ULICA

Państwowy Instytut Wydawniczy opublikował niedawno powieść antyfaszystowskiego pisarza niemieckiego p.t. „Nasza ulica”. Książka ta zafrapowała polskiego czytelnika podtytułem wyjaśniającym, że jest to „kronika pisana w sercu faszystowskich Niemiec w latach 1933—34” — ale nie tylko dlatego: specjalne zainteresowanie wzbudziła osoba autora, kojarząca się z pewnym bardzo charakterystycznym wydarzeniem, jakie niedawno miało miejsce w Niemczech.

Wydarzenie to opisane w jednej z korespondencji znawcy spraw niemieckich, Edmunda Osmańczyka, dotyczyło w sensie zasadniczym nie Jana Petersena, a innego pisarza niemieckiego, Ilberga, skazanego w październiku przez wojсковy sąd brytyjski za „rozposzczernianie nielegalnej literatury” na karę 2 tysięcy marek grzywny lub cztery miesiące więzienia. Rola Jana Petersena w tej sprawie polegała na zorganizowaniu u przedstawicieli rządu Niemieckiej Republiki Demokratycznej konferencji prasowej z udziałem korespondentów zagranicznych. Konferencja miała na celu zjednanie opinii prasy światowej dla sprawy Ilberga. Jak mianowicie przedstawiała się sytuacja? Cytujemy za Osmańczykiem: „Werner Ilberg ma dziś lat 55. Jest człowiekiem ciężko chorym i żyje, jak olbrzymia większość pisarzy w Niemczech Zach., w ubóstwie, z dorywczych zarobków, które dla pisarza lewicującego (Ilberg należał przez całe życie do lewego skrzydła SPD) nie nadarzają się zbyt często. Do tego Ilberg jest Żydem, co w Niemczech Zach. też nie ułatwia życia. O zapłaceniu 2 tysięcy marek nie ma mowy. Bo jest to suma odpowiadająca rocznym zarobkom przeciętnego człowieka pracy w republice Adenauera. Pozostaje zatem Ilbergowi tylko więzienie, a to oznacza dla schorowanego człowieka katastrofę”.

Na czym zaś polegało „przestępstwo” Ilberga? Rozposzczerniał zakazaną literaturę, tzn. rozsyłał znajomym autorskie egzemplarze własnej, nagrodzonej w swoim czasie w Szwajcarii powieści o Niemczech przedhitlerowskich. O „przestępstwie” tej książki nie decydowała zresztą jej zawartość, lecz fakt, że została wydana w radzieckim sektorze Berlina. Wiadomo są powszechnie, że od dwu lat blisko kolportowanie w strefie brytyjskiej, jakichkolwiek książek, publikowanych w strefie radzieckiej, karane jest więzieniem. Niezbędna jest przy tym informacja dodatkowa, że pisarze-spakobiercy hitlerizmu nie krepowani są żadną ustawą.

Casus Werner Ilberg zapowiadał się więc wyraźnie tragicznie. Stąd właśnie energiczna akcja ze strony Petersena, który występując w obronie Ilberga nie kierował się zresztą względami wyłączone natury uczuciowej, czy humanitarnym aspektem sprawy. Wezły przyjaźni między tymi ludźmi zawiązały się w sieci spraw, których ogniwem łączącym jest bardziej jeszcze ideologia niż sentyment. Werner Ilberg wraz z Petersenem od pierwszej chwili objęcia władzy przez Hitlera pozostawał w niemieckim podziemnym ruchu oporu. Obok wielu innych akcji organizowali wspólnie wydawanie nielegalnego pisma literackiego p.t. „Stich und Hieb”. W roku 1934 Ilberg został aresztowany i po paromiesięcznych badaniach przewieziony do obozu koncentracyjnego. Między innymi, również Jan Petersen zawiadzczał swe życie milicjoni Ilberga podczas karni. Na konferencji, o której mowa poniżej, wyjaśniał zgromadzonym korespondentom zagranicznym, że Ilberg nie zasługuje — mimo „wszystko” — na represję i apelował do prasy światowej, aby poparała prośbę do Wysokiego Komisarza brytyjskiego, gen. Robertsona, o kasację wyroku. Swoją list, skierowaną bezpośrednio do generała, zakończył słowami: „Musiałem to napisać, generale, wstydziliby się bowiem sam siebie, gdybym milczał”.

Ten sam tekst mógłby być umieszczony w postulu do „Naszej Ulicy”. Interwencja Petersena o kasację wyroku na Ilberga jest bowiem niejako przedłużeniem kroniki walki z zbierającą falą faszystów w pierwszych latach panowania Hitlera w Niemczech. Zapiski Petersena nie były rzeczą prostą. „Moje pisanie — czytamy na stronie 198 — natrafiło na nowe trudności. Rękopis tak się rozrósł, że nie mogłem chować go bezpiecznie w dawnej skrytce. Wobec tego powierzyłem go jednemu z sympatyków. Po dwóch tygodniach oddał mi go, ponieważ także nie czuł się już bezpiecznie. Zanim więc go wróciłem, który uchodził za „dobrze sytuowanego mieszczańszczyzny”. Ale i ten oddał mi wkrótce rękopis, tłumacząc, że jego portier dziwnie mu się przypatruje, wie bowiem, że dawniej czytywał lewicową prasę. Dlatego lepiej będzie dla nas obu, jeżeli wezmę paczke z powrotem”.

W tym stanie rzeczy każdy wtajemniczony mógł mieć kiedyś w jakiś sposób narazić. Może myśleli, że doprowadzą im na kark Gestapo, przynosząc od czasu do czasu nowe zapisane stronice. Tak czy inaczej nie wierząc ich uspra-

wiedliwionom. Złękli się po prostu. Tej nocy muszę mieć rękopis u siebie w pokoju. Nazajutrz z rana trzeba go jednak koniecznie sprzątnąć. Nie może leżeć w naszej niebezpiecznej dzielnicy. Jakież to wszystko męczące!”

Z tego rodzaju perypetiami spotykamy się nieraz jeszcze na kartach książki. Autor „Naszej ulicy” ciężkim wysiłkiem nerwów okupował zwyczaj rejestrowania bieżących wydarzeń. Pisał jednak prawdopodobnie pod wpływem tych samych impulsów, jakie kierowały nim przy organizowaniu interwencji w sprawie Ilberga. Wnioskuje z przebiegającej w książce postawy społecznej, należy sądzić, że Petersen „wstydziliby się przemilczać sprawy, o których cały świat powinien się dowiedzieć”.

Owocem tego stanowiska jest jeszcze jedno świadectwo rzeczywistości historycznej, jeszcze jeden przyczynek do przyszłego badania wydarzeń, nauczania następnych pokoleń, wyciągania wniosków — jeszcze jedna odciecznia dla przeciwcieplenia błędów. „Nasza Ulica” obejmuje wąski krąg dzia-

łomokratyczny przenika wszędzie, ale też wszędzie napotyka na ciężkie opory. Imperializm anglo-amerykański faworyzuje hitlerowców, jako wykonawców swych planów kolonizowania i militarystyki Niemiec Zach. i prześladowuje demokratów jako tych, którzy przeciwstawiają się tej akcji. Stąd namietna interwencja Petersena w sprawie Ilberga, stąd pasja w informowaniu opinii świata o stosunkach w Trizonii. Jest to dalszy ciąg tej samej pasji, z jaką informował świat o stosunkach na „Naszej Ulicy”. Bo tamte sprawy jeszcze się nie skończyły — wymowa tej książki ma wielowarstwową płaszczyznę odbicia. Kiedy była pisana szło o sporządzenie świadectwa o prawdzie o oporze komunistów niemieckich wobec zbierającej nawałnicy hitleryzmu! Kiedy po wojnie ukazała się we wschodnich Niemczech stała się radosnym sprawdzianem przenikania hasła demokratycznych w życie kulturalne społeczeństwa, przedmiotem twórczych zestawień i konfrontacji. Dała asumpt do kapitalnych wniosków natury socjo-

wniści w gruncie rzeczy, karmiąc się pełną żłudą czulego a przykłego współzycia z reżimem hitlerowskim, uparcie odmawiali współpracy. Ostatnia próba Centralnego Komitetu KPD: zorganizowania generalnego strajku została odrzucona jako „prowokacja” (!) Oczywiście, gdy później Gestapo skierowało ataki w ich stronę również, skłonni byłiby może zmienić orientację. Ale wówczas było za późno.

Mocne i pełne wyrazu są te sceny w książce Petersena, kiedy młodzi działacze komunistyczni nawałują do strajku powszechnego otepale, przytłoczone nędzą drobniomieszczańskie masy niemieckie. Forma zbeletryzowanego reportażu pozwala narratorowi na swobodne operowanie kamerą obserwacji. Ruchliwe, spozregawcze oko służy jako świadomy sprawny i świadomy tendencji przewodnik w pogmatwanym chaosie zdarzeń, pełnym wciąż innych wypadków i postaci. Migawkowy system rozwijania wątku tematycznego wzbogaca pole widzenia czytelnika, umożliwiając wnikanie w wielorakie dziedziny i zakamarki życia w Niemczech, pomiędzy młotem u podłoga i kowadłem represji. Innej drogi nie było i zarówno świat katów i tych, którzy poszli na służbę hitleryzmu, bądź to ze względów „ideowych”, bądź zwyczajnie utylitarnych — jak tych, których widmo najstraszliwszych karni nie mogło załamać w oporze, przedstawiony jest w „Naszej Ulicy” wyraziście, przy rzadkim w podobnych sytuacjach zindywidualizowaniu postaci. W książce nie ma szabloności ani uproszczeń, tak łatwo nasuwających się pod pióro przy odmalowywaniu klasycznych schematów fabularnych (prześladowny — uciskani itp.) Petersen zachowuje całe bogactwo odcieni przy charakterystyce uczestników swej kroniki. Wielu jest pozytywnych bohaterów, każdy z nich jednak — choć na tej samej drodze — inaczej dorabia się uznania, podziwu, niezakończony zachwyt ze strony czytelnika — nie drapując się przecież nigdy w togi męczeństwa, nie stwarzając glorioli wokoło siebie.

Umierali prosto i zwyczajnie, przekazując wedle słów Wilhelma Piecka — żyjącym swe siły, wiary i energię dla kontynuowania ich dzieła. Nie ma białych ani czarnych plam bez oblicza na tle pejzażu „naszej ulicy”. Każdy dźwiga swój rodowod socjalny i swoją sytuację wpływającą na zróżnicowanie jego mentalności i obyczajów. Kapitalne są zwłazki szkie Petersena, gdy jednego z „mętniaków” nie można wciągnąć dla jego „małej”, kiedy inny wstępuje do SS, bo nie może znieść jako bezrobotny bezużytecznego petania się po mieszkaniu i łaskawego chleba rodziców, kiedy trzeci wstępuje do SA, bo lęka się stracić pracę, a jeszcze inny filozofuje bardzo przekonująco: „Jakoś przecież trzeba żyć! Tam przecież najmniej traktują jak człowieka”.

Mechanizm aparatu hitlerowskiego spleczającego i upokarzania ludzi, przez ucisk ekonomiczny, odbierania im inicjatywy i zdolności myślenia pokazany jest pierwszorzędnie w powtarzających się parokrotnie scenach zbiorowych na tle tłumów bezrobotnych, wychekujących nędznego zasiłku, na tle stoczonych gromad przed sieniami domów i sklepikami, utyskujących na głodowe płace itp.

Petersen po mistrzowski różnicuje i ożywia zbiorowiska drobniomieszczańskie i lumpenproletariackie, brak jednak w powieści obok działaczy robotniczych, masy robotniczej, podobnie świadomie myślącej i działającej. Robotników w masie widzimy raczej tylko od strony emocjonalnej. Jesteśmy świadkami namietnych wybuchów oburzenia i rozpacz pod czas pogrzebu towarzyszy itp. Są to jednak wybuchy spontaniczne, nie świadczące o planowym programie przeciwstawiania się złemu. Błędem autora jest, że nie uwypuklił należyte reakcji ze strony zbiorowości robotniczej na wieść o aresztowaniu znakomitego przywódcy KPD Ernesta Thaelmanna lub przebiegu procesu Dymitrowa. Te wydarzenia oglądamy tylko poprzez pryzmat przeżyć jednostek, co wyraźnie obciąża reportażowy charakter powieści. Reportaż jednak powinien chwycić bezbłędnie proporcje zjawisk, co nie zawsze oparte jest w dostatecznym stopniu przez Petersena.

„Nasza Ulica” ukazana jest w ruchu, w wielowarstwowym zróżnicowaniu, w dynamice przeżyć i działania, ale brak w niej punktów wyjścia, perspektyw rozwojowych. Metoda opisywania spraw w oparciu wyłącznie o losy jednostek doprowadza do zamknięcia książki klamrą beznadziejnego pesymizmu. Dopiero opublikowanie powieści w Niemieckiej Republice Demokratycznej, dopiero zestawienie tego zjawiska z sytuacją panującą w całych Niemczech i z latami przeszłości stworzyły postawę autora, bez którego „Nasza Ulica” jest niepełna. Dopiero ona oprawa sens powieści w wspaniały, dialektyczny obraz drogi rozwoju nowych Niemiec.

ZOFIA RZEPLIŃSKA

Włodzimierz Boruński

DO NIEMIECKICH PRZYJACIÓŁ

Każdej nocy patrz na mnie oczy
Matki, siostry i brata.
Nieruchome i skamieniałe,
Nieme, suche i twarde...

A ze świtem daleki obraz
Znowu w przeszłość ulata.
Bija serca górnicze, wytrwałe,
O ścianę stalowym oskardem.

Każdej nocy wracają krzyki
Kobiet, mężczyzn i dzieci.
I te krzyki odkryją czasami
Dawną rozpacz i prawdę nagą.

A o świecie sen, niby orkan,
Myślą wzburzoną przeleci.
Dudnią szyny wagonami
Chłopców z Pafawagu.

Sen przynosi mi czapki gestapo
I placzącą przynosi mi Ciebie...
A ja budzę się. Patrzę przez okno.
A ja widzę: cegły na niebie!

W nocy dławi mnie gorycz strachu,
Dom walący się, — zęby żandarma...
A gdy rankiem wychodzę z domu
Na ulicach dziecięcy jarmark!

Myśli moja, która żyjesz we mnie
Jadem minionego okresu,
Przebij się przez słońce czasu
I serce w jego światło przesuń!

Ty, któryś wszystkich stracił,
Pamiętaj: Polska rośnie wysoko...
Ten wiersz napisałem dla przyjaciół,
W Niemczech budujących pokój.

nia, ofiara jej bohaterów, to kamień ciśnięty w wodę, nad którym zamknęła się nieprzenikniona toń hitlerizmu. Ale ślad kamienia znikł tylko na powierzchni — kręgi podwodne rozchodziły się po przez wszystkie następne lata; ukazanie się zaś książki Jana Petersena w Niemieckiej Republice Demokratycznej, ukazanie się jej w Polsce, postawienie napisane przez autora do polskiego przekładu — to wciąż ten sam nurt. Postawie to „Naszej Ulicy” dotarło do nas mniej więcej w tym samym okresie, co informacja w sprawie Wernera Ilberga. Zagadnienia o tematyce pozornie różnej można by jednak umieścić na płaszczyźnie tych samych rozważań: rozważań o losach Jajty, Poczdamu, kiedy największe mocarstwa świata układały program dla demokratycznego odrodzenia Niemiec. Bo słowa Petersena, zwrócone do społeczeństwa polskiego, to pogłębiona lekcja internacjonalizmu, sprawdzian głębokich przeobrażeń nie tylko ustrojowych, ale indywidualnych psychologicznych i światopoglądowych.

„Niech ta książka powie polskim czytelnikom, że my Niemcy antyfaszyści wyciągnęliśmy właściwą naukę z haniebnej przeszłości naszego kraju. Ze staramy się uczynić wszystko, co w naszej mocy, aby wytypić faszizm w całych Niemczech, aby stworzyć zjednoczone Niemcy Demokratyczne, które już nigdy nie będą zagrożać innym narodom wojną ani grabieżą. Dopiero wtedy uda nam się doprowadzić do zwycięstwa socjalizmu w całych Niemczech”.

To na pewno zupełnie nowy gatunek publikacji niemieckiej. Z niemałą chyba satysfakcją wienczył w ten sposób swe dzieło uczestnik walk z SS i S.A. na „Naszej ulicy”. I z niemałą również chyba zgrzyotą interweniował w sprawie Ilberga, która jest symbolem bezwzględnej paradii Poczdamu. Czy po to gineli w mękach towarzysze, żeby pełnić się neofaszystami po wojnie? Znamienne są podkreślenia w postulu wyrazów „całych” Niemiec, „całe” Niemcy. Antyfaszyści Niemcy nigdy nie pogodzili się z myślą zważania demokratyzacji swego kraju do granicy Łaby. Zasilana potężnym wpływem opieki radzieckiej strefa wschodnia promieniując na cały kraj: Front De-

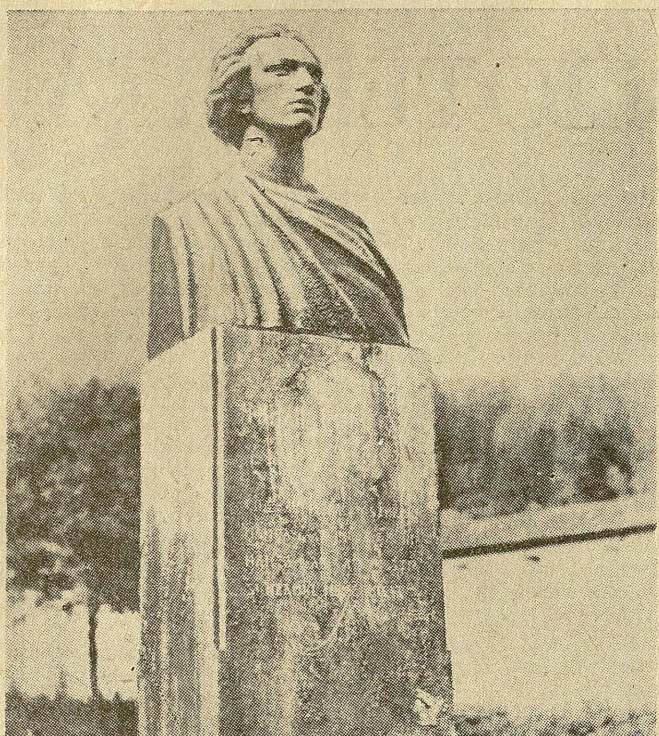
logicznej, do koncepcji politycznej, do kształcenia świadomości ideologicznej. Kiedy zaś w roku 1949 ukazała się w Polsce — położyła kamień milowy na drodze przyjaźni polsko-niemieckiej, drodze nowej i trudnej.

„Książka niemieckiego antyfaszysty ukazuje się w nowej demokratycznej Polsce Ludowej. Fakt ten może autor powitać jedynie z wdzięcznością i głębokim wzruszeniem. Właśnie Polsce przecież za dała ręka niemiecka cięższe niż jakimkolwiek innemu krajowi, niewysłukowane cierpienia. Właśnie Polska doznała większych niż jakikolwiek inny kraj zniszczeń i potworności. My, Niemcy antyfaszyści, jesteśmy świadomi, że i na nas spada odpowiedzialność za to i że stąd wynika dla nas jeszcze większe zobowiązanie zbudowania pokojowych stosunków sąsiedzkich między obu narodami”.

To wprawdzie tylko deklaracja, ale deklaracja, za którą sto pięć lat budowania demokratycznego ładu. Poza tymi latami — wstecz — ciągnie się setkami wiezieni i obozów koncentracyjnych „nasza ulica”. Franz Zander, Ryszard Hüttig, Teichert, Preuss i inni meldują, że dawno włożyli swój udział w dzieło tworzenia Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Dział ten był wyczerpujący — zamykał w sobie obok trudów, ciężarów, mąk wszelkiego rodzaju najcięższe także śmierć. Najtrudniejszą jednak jego stroną był czas, w którym się dokonywał: okres, który Wilhelm Pieck, czołowy obok Ernesta Thaelmanna kontynuator postępowej myśli niemieckiej, charakteryzował w sposób następujący:

„Mamy sytuację, w której możliwe jest powalenie partii przez faszystów, zanim uda jej się doprowadzić masy do boju. Nie jest to jednak jeszcze za późno, jeżeli nazizm natrafi na opór zjednoczonego frontu robotniczego” (Na posiedzeniu Centralnego Komitetu Partii w lutym 1932).

Pierwsze uderzenie hitlerowców skierowało się przeciw komunistom. Wilhelm Pieck walczący nieustannie przeciwko tym wszystkim „lewicowcom”, którzy oponowali przeciwko jednolitemu frontowi; tłumaczył nieustannie konieczność zjednoczenia się, jako jedynej możliwości odparcia rozszalałej ofensywy reakcji. Na próżno: socjaldemokraci, osławieni socjalo-



Mihail Eminescu

Stulecie urodzin Mihaila Eminescu, które Ludowa Republika Rumuńska uroczysto święci w roku bieżącym, dało powód do licznych rozpraw krytycznych i artykułów omawiających życie i twórczość Eminescu.

„Święcimy 100 lat od dnia urodzin Eminescu ukazując olbrzymie cierpienia największego naszego poety, wszystkie jego bunty, jego potężne oskarżenie przeciw uciskowi, wyobcowaniu i pociąganiu życia przez rządy burżuazyjno-obszarnicze”.

Słowa te, wyjęte z czołowego artykułu tygodnika społeczno-literackiego „Contemporanul” oddają sens i pobudki do pracy nad nową interpretacją twórczości Eminescu.

Eminescu nie milczał. Bunty w jego twórczości były częste. Wielki poeta bohatersko szukał prawdy przez poezję. Nie zawsze ją odnajdywał, nie zawsze umiał użyć w sposób zupełnie świadomy, ale poszukiwania jego są drogą klasie robotniczej.

Mihail Eminescu urodził się 15 stycznia 1850 r. W stulecie urodzin odbyły się uroczystości związane z jego imieniem we wszystkich ośrodkach fabrycznych, świetlicach wiejskich, szkołach, uniwersytetach. Rumuńska Akademia Nauk nadała Emini-

nescu pośmiertnie tytuł członka Akademii. Jeden z publicystów rumuńskich, E. Jeleleanu trafnie stwierdził, że Eminescu nabiera światowej sławy dzięki temu, że oddano go narodowi. Delegacje Związku Radzieckiego i krajów demokracji ludowych na akademii ku czci Eminescu w Bukareszcie podkreślały zgodnie jego wielkość. W czasopiśmie tych krajów ukazało się wiele poważnych artykułów na temat twórczości Eminescu. Jest on jednym z czołowych poetów świata, a w okresie, kiedy pisarza są określani jako „inżynierowie duszy”, w pełni zasłużył na miano wielkiego poety.

Wszystko to jest nagrodą za krzywdy, które wyrządziła mu za życia i w ciągu wielu lat po śmierci burżuazyjno-obszarnicza Rumunia.

Życie Eminescu przypadło na ciężki, pełen wstrząsów i sprzeczności, okres dziejów Rumunii. Okres ten otwierała Wiosna Ludów 1848 roku. Koniec życia Eminescu upływał już wśród pierwszych przejawów rewolucyjnych ruchów proletariackich. Lud Rumunii zaczął w jarmynie wielkich obszarników. Wielkie latyfundi przetrząsały się w folwarki kapi-

talistyczne kosztem niesłychanej nędzy chłopstwa.

Eminescu pochodził z ubogiej rodziny, pracującej na wielkim obszarze. Od 14 roku życia zaczął się sam utrzymywać. Głód i nędza prześladowały go przez całe życie. Pracował kolejno w charakterze chłopca do posu, tragarza, suflera wódzkiego, prowincjonalnego teatru, znał dobrze ciężkie, gorzkie życie pracującego ludu Rumunii.

A burżuazyjna legenda cynicznie głosiła o nim, że z natury nie potrafił być szczęśliwy (Titu Maiorescu), że w każdej sytuacji nurtuje go wrodzony tragizm. Inni byli jeszcze bardziej cyniczni, gdyż sądzili, że właśnie nędza i bieda osobista są niezbędnym bodźcem jego twórczości.

Bogata i różnorodna spuścizna literacka Eminescu została zgrabnie przetrzebią i sfalszowana przez burżuazję. Zatajono wiele pozycji ujawniających rewolucyjny protest poety. W wahaniach Eminescu, uwarunkowanych sprzecznościami jego epoki, usłowno dopatrzeć się postawy reakcyjnej.

Eminescu nienawidził panującej klasy burżuazji i obszarników. Nie zdawał sobie jednak w pełni sprawy z siły wyzwoleniejszego ludu. Ale umiał walczyć o jego prawa.

W czasach debiutu Eminescu toczyła się w Rumunii dyskusja na temat celów i zadań sztuki. Współczesny reakcyjny krytyk, Titu Maiorescu, napisał programowy artykuł w „Rozmowach Literackich”, organie konserwatywnego towarzystwa literackiego „Junimea”. Rozmawianie jego sprowadzało się do tego, że najgorszymi wierszami są wiersze polityczne, gdyż polityka jest produktem umysłu a poezja jest i musi być produktem fantazji. Zatem jedno wyklucza drugie. Poezja jest produktem luksusu życia intelektualnego, a nie potrzebą (szlachetną, niepotrzebną rzeczą). Istnieje tylko dla zaspakajania zamiłowań estetycznych.

Eminescu nie sobie z powyższych programów nie robił. W wyżej wspomnianym debiucie wystąpił wierszem „Epigoni” („Epigoni”) Poezję rozumie tam jako akt poznania, a nie pustą grę złożeń.

W innym z wierszy powiada Eminescu wprost: Dajcie mi spokój z

waszymi radami o pięknym układaniu daktyli! Takich wierszy mógłbym pisać dziesięć tysięcy dziennie.

W wierszu „Epigoni” Eminescu świadomie ukazywał swój rodowod literacki i ideowy. Wiązał się z takimi pisarzami, jak Anton Pan, Eliade Radulescu, Boliac, Muresanu, Negruzzi, Alecsandrii. Prawie wszyscy oni brali udział w rewolucji 1848 r. W tym rodowodzie nie wymienili ani jednego poety reakcyjnego.

Jednak najważniejszą rzeczą jest stwierdzenie, że twórczość Eminescu nie jest „meteorem”, jak usłowno określili, lecz najbardziej zaawansowanym etapem romantyzmu rumuńskiego. W swojej twórczości Eminescu koncentruje wszystkie wielkie zalety i błędy romantyzmu rumuńskiego.

Z całą ostrością należy podkreślić ludowy charakter liryki Eminescu, umiejętnie wykorzystywanie elementów artyzmu ludowego. W jego poezji natykamy się stale na motywy ludowe, konstrukcje rytmu na podstawie poezji ludowej.

Rumuńska Partia Pracy rozpoczęła i popierała kampanię o dokładnej analizie i szczegółowe poznanie twórczości Eminescu.

„Nasza krytyka musi analizować i odważnie interpretować elementy pozytywne, realistyczne poezji Eminescu, jego ataki zwrócone przeciwko uciskowi burżuazyjno-obszarniczemu, elementy buntu społecznego — bez powiększenia jednak ich realnych rozmiarów. Uznanie twórczości nie oznacza przemilczenia obcych wpływów ideologicznych. Obowiązkiem naszej krytyki literackiej jest ukazanie w świetle wiedzy marksistowsko-leninowskiej wszystkiego co pozytywne w twórczości naszego poety i wyjaśnienie powodów istniejących sprzeczności. Krytyka musi wskazać na istniejące sprzeczności w twórczości Eminescu, ale musi też wythumaczyć, dlaczego Eminescu jest wielki w swoim patriotyzmie, nienawiści przeciw wyzyskiwaczom i w jakiej mierze pomaga nam dziś w walce, którą prowadzimy”.

Artykuły posyłały się jak z rągu obfitości we wszystkich czasopiśmie rumuńskich.

Ponad 20 zasadniczych artykułów, nie licząc rozmaitych przyczynków

CEZAR I PROLETARIUSZ

(fragment poematu)

Paryż płonie! — Burza się w nim przewala i gorze!
zamki jak czarne pochodnie — ognia żywego słup —
dymy jak wybuch wulkanu, łuny jak sadzą zasnuły zorze —
płyną ryki i szczęki jak rzeka w rozgrzane morze —
Stulecia umarli! — Paryż stuleci grób!

Bruk ulic krwią pożogi nieustannie broczy,
barykady wysokie sypie ludzki rój —
z pieśnią rewolucyjną kroczy lud roboczy
kwitną frygijskie czapki, blyszczą stała oczy —
dzwony ochryple huczą! na alarm! na bój!

Białe, zimne, aż martwe — jak głuche marmury —
lasem czerwonych ognia idzie niewiast krag —
z bronią w ręku, miast włosów rozwiane wichury
na głowach, piersiach, plecach — a w oczach ponury
krzyk grozy nienawiści, rozpacz i mąk.

O walcicie, wy okryte węzami warkoczy
każde dziecko zdeptane zbliża jutro dni —
niech się czerwony sztandar nad nami rozciąga,
niech was rozgrzeszy jutro głos proroczy —
ci, co was sprzedawali winni — lecz nie wy!

M. EMINESCU

M. Eminescu „Wybór poezji i poematów” przekład Emila Zygałowicza. Warszawa 1933 r. Nakładem księgarni F. Hoesicka.

i marginaliów. Jak na początek roku Eminescu, to wcale okazała liczba. Wszystkie artykuły w syntezie udowodniły, że Eminescu jest poetą narodowym, że jego twórczość jest głosem buntu mas najliczniejszych i wyzyskiwanych, że tkwił mocno w rzeczywistości. Krytyka wydobyla z jego twórczości wielką miłość człowieka i przyrody. Podkreśliła szczególnie ostro, że wzbogacił on język literacki ludowym słownikiem. Wydobyla z niego wielką wiedzę marksistowsko-leninowską o wszystkim co pozytywne w twórczości naszego poety i wyjaśnienie powodów istniejących sprzeczności. Krytyka musi wskazać na istniejące sprzeczności w twórczości Eminescu, ale musi też wythumaczyć, dlaczego Eminescu jest wielki w swoim patriotyzmie, nienawiści przeciw wyzyskiwaczom i w jakiej mierze pomaga nam dziś w walce, którą prowadzimy”.

Artykuły posyłały się jak z rągu obfitości we wszystkich czasopiśmie rumuńskich.

Ponad 20 zasadniczych artykułów, nie licząc rozmaitych przyczynków

Ludowość cenił nade wszystko. Współcześni mu filologowie chcieli język rumuński bardziej zlatynizować i zitalienizować, czyli stworzyć język sztuczny. Z całym oburzeniem pisał wtedy: „Myśleć, że naród liczący ponad 10 milionów jest złośliwy tylko z głupców, którzy nie mieli ani tyle słuchu, ani rozumu, żeby mówić porządnym językiem, przyjać następnie, że tylko panowie filologowie są mądrymi ludźmi, którzy nas wyprowadzają na właściwą drogę teorii, wyssanymi z palca w obrębie czterech ścian — to obraza dla narodu rumuńskiego, który mówił i pisał jakoś, zanim jeszcze nie było filologów”.

I Eminescu wygrał kampanię. Jego język jest najpiękniejszym językiem rumuńskim, bo jest wzięty z żywego języka ludu.

Eminescu zasłużył sobie na uznanie Ludowej Republiki. Współcześni poeci piszą o nim, jak o swym najlepszym przyjacielu. Gdyby żył wśród nas, nie musiałby tyle cierpieć — a pomógłby nam czynnie, tak jak pomaga swymi wierszami w walce.

Helena Bielska.

Wacław Szumski

Chiny wolne



Mao Tse - Tung

„Era niczym niezakłóconego wyzysku i ucisku kolonii i krajów zależnych minęła.”

Nastąpiła era rewolucji wyzwoleniejszych w koloniach i krajach zależnych, era przebudzenia się proletariatu tych krajów, era jego hegemonii w rewolucji”.

(Stalin)

Wielka i trudna droga wiedząca do dzisiejszego zwycięstwa Chin Ludowych znana była krwią najlepszych synów i córek narodu, w ciągu ostatniego stulecia, lud chiński wielokrotnie zrywał się do walki przeciwko średniowiecznemu systemowi feudalnemu i obcemu jarzmu imperialistycznemu.

Przez czterdzieści lat (1850 — 1864) trwała ludowa powstania Tajpingów, stumienne ognie i żelazne przez interwencję zachodnich, wojska anglo — francuskie. Okrutnie i bezlitośnie rozprawili się między narodowy imperializm z powstaniem bokserów w 1900 r. Żywiłowy charakter tych powstań, ówczesna słabość chińskiej klasy robotniczej, która jeszcze nie mogła stać się kierowniczą siłą powstania, zdecydowały o klęsce.

Rewolucja 1911 — 12 r., której wodzem i ideologiem był Sun-Jat-sen, była ruchem w którym jako główna siła występowało chłopstwo w sojuszu z liberalną burżuazją.

Opracowany przez Sun-Jat-sena program rewolucji sprowadzał się do zadania 1) wyzwolenia Chin spod imperialistycznego i feudalnego jarzma, 2) obalenia monarchii i ustanowienia władzy ludu, 3) utworzenia takiego ustroju społeczno-gospodarczego, który by zapewnił pomysłny rozwój narodu chińskiego. Kuomintang, który powstał w 1912 r. złożył formalnie u podstaw swego programu trzy podstawowe zasady Sun-Jat-sena, ale usunął jeden z najważniejszych punktów, domagających się reformy rolnej. Odrzucając punkt o reformie rolnej, Kuomintang stał się w obronie interesów obszarnictwa i odepchnął od siebie masy chłopskie, domagające się ziemi.

Fakt, że chińska rewolucja 1911 — 1912 r. przewodziła burżuazja zdecydował o porażce rewolucji. Klasowa pozycja burżuazji narodowej stanowiła przyczynę jej słabości, niekonsekwencji w działaniu, jej krótk-

kowzroczności i lęku przed wciągnięciem szerokich mas do ruchu rewolucyjnego.

Sun-Jat-sen, nawoływał do „przebudzenia mas” do „udzielenia pomocy robotnikom i chłopom”. Zdaniem Sun-Jat-sena powołana do tego była burżuazja narodowa i drobno-mieszczanstwo. Sun-Jat-sen nie widział prawdziwego chorażego ideału wyzwolenia i całkowitej demokracji kraju w chińskiej klasie robotniczej, w jej rewolucyjnej marksistowskiej partii, w przodującej i kierowniczej sile klasy robotniczej i jej partii.

„Działanie poniosła krach 40-letnia działalność rewolucyjna Sun-Jat-sena”, zapytuje premier Chin Ludowych i przewodniczący Komunistycznej Partii Chin, Mao-Tse-Tung. „Dlatego, że w epoce imperializmu drobno-mieszczanstwo i burżuazja narodowa nie mogą przeprowadzić z powodzeniem pod swym kierownictwem żadnej prawdziwej rewolucji”.

Wybuch Rewolucji Październikowej wstrząsnął światem. Zwycięski lud burzył stare i budował nowe życie wolne od kapitalizmu, rewolucyjna energia rosyjskiego proletariatu dokonywała wielkopomnego dzieła tworzenia pierwszego w świecie państwa socjalizmu.

„Głos marksizmu-leninizmu, pisał Mao-Tse-Tung dobiegł do naszych uszu dopiero z hukiem Rewolucji Październikowej. Rewolucja Październikowa pomogła elementom postępowym całego świata, w tej liczbie i Chin zastosować swe własne poglądy na świat, by zdecydować o losach kraju i zrewidować swe własne problemy. Wniosek był jeden — iść za przykładem Rosjan”.

Komunisty chińscy, którzy stanęli na gruncie leninowsko-stalinowskiej nauki o ruchu narodowo-wyzwoleniejszym, o rewolucji w krajach kolonialnych i zależnych w okresie imperializmu, stali się czołowym oddziałem walczącego przeciwko reakcji i imperializmowi ludu chińskiego.

Hartowała się w aktywnej walce z burżuazją, w licznych strajkach i demonstracjach, chińska klasa robotnicza. W roku 1921 powstaje Komunistyczna Partia Chin.

Testament polityczny Sun-Jat-sena nakazywał: „W celu odniesienia zwycięstwa powinniśmy zbudzić masy narodu i zjednoczyć się we wspólnej walce z tymi narodami świata, które uważają nas za równoprawny naród”.

Sun-Jat-sen jako człowiek postępu i prawdziwy rzecznik wyzwolenia Chin spod jarzma imperializmu, powitał Rewolucję Listopadową i pomógł jak Rosja Radziecka udzieliła Chinom, ustosunkował się pozytywnie do współpracy z Komunistyczną Partią Chin.

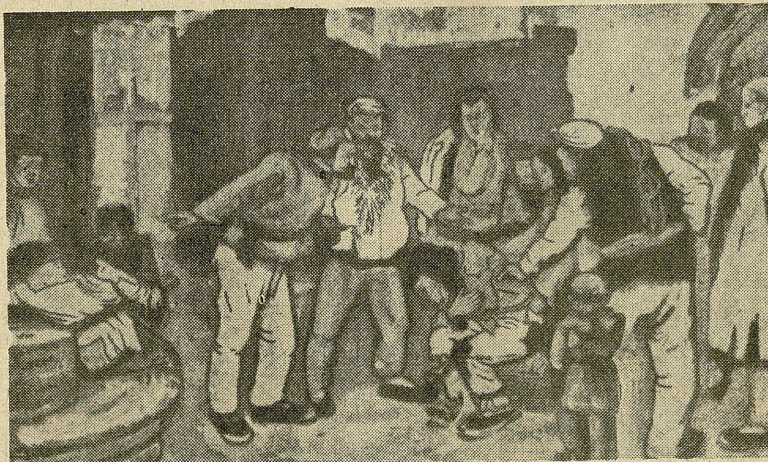
Już w toku rewolucji 1925 — 1927 proletariatu chiński z partią komunistyczną na czele stał się kierowniczą siłą walki ludu chińskiego, a jego autorytet i wpływ w szerokich

masach ogromnie wzrósł. Polityka jednolitego frontu rewolucyjnego i współpracy z Kuomintangiem nie oznaczała bynajmniej rezygnacji z samodzielnej pracy partii komunistycznej wśród robotników i chłopów. Ta praca komunistów chińskich szła w kierunku zwalczania wstępczności wewnętrznego obcego imperializmu.

„My, jako komunisty — pisał Lenin — tylko wówczas powinniśmy i będziemy popierać ruchy burżuazyjno-wyzwoleniejsze w krajach kolonialnych, kiedy ruchy te są rzeczywiście rewolucyjne, kiedy ich przedstawiciele nie będą przeszkadzać nam w wychowywaniu i organizowaniu chłopstwa i szerokich mas wyzyskiwanych w „Duchu rewolucyjnym” (Dziela t. XXV, str. 353, wyd. 3-cie).

Rewolucja chińska w latach 1926 — 27 przeszła przez etap ogólnonarodowego, zjednoczonego frontu (t. zw. okres kantonjski), kiedy rewolucja kierowała nowe uderzenie głównie przeciwko imperializmowi zagranicznemu, a burżuazja narodowa popierała ruch rewolucyjny” (Stalin).

W drugim etapie tej rewolucji, burżuazja narodowa porzuciła obóz rewolucji i przeszła do obozu reakcji i imperializmu. Był to okres potężnego rozrządania się ruchu agrarnego — rozniecania rewolucji



Kwang - Sz - Kuo: „Hańba leniwe mu” (współczesny chiński drzeworyt ludowy)

na wsi, wciągania wielomilionowych mas chłopstwa do walki rewolucyjnej, przeciwko feudalizmowi i reakcji wewnętrznej.

„Kantonjski rząd ludowy — głosiła uchwała VII plenum Międzynarodówki Komunistycznej z listopada 1926 r., — nie zdoła utrzymać się u władzy podczas rewolucji, nie zdoła osiągnąć całkowitego zwycięstwa nad imperializmem cudzoziemskim i nad rodzimą reakcją, póki sprawa wyzwolenia narodowego nie będzie utożsamiana z rewolucją agrarną”.

Rewolucja chińska ani w pierwszym ani też w drugim etapie rozwoju nie zdołała wykonać zadania obalenia imperializmu, dała ona jednak potężny impuls do rozbudzenia

i wystąpienia rewolucyjnych mas do walki przeciwko imperializmowi.

Nie wykonała ona również swego zadania rewolucji agrarnej, przekształcając je trzeciemu, obecnemu, etapowi rewolucji, zadanie całkowitego i bez reszty wyzyskania pozostałości feudalizmu, z jednej strony i sprawę zupełnego wyeliminowania wpływu imperializmu w Chinach z drugiej strony, Chiny ludowe, rzeczywistnie obecnie wielkie zadania budownictwa ustroju ludowo-demokratycznego, wykonują do końca niespełnione w warunkach lat ubiegłych testament rewolucji burżuazyjno-demokratycznej.

W 1927 r. po śmierci Sun-Jat-sena Kuomintang przekształcił się w partię reakcyjnego bloku burżuazji i obszarnictwa, i przy czynnym poparciu imperializmu ustalił antyrobotniczą i antychłopską dyktaturę Czang-Kai-Szeka w Chinach.

W tych ciężkich chwilach rewolucji chińskiej, Józef Stalin wpał w serca komunistów chińskich i narodu chińskiego niezłomną wiarę w zwycięstwo rewolucji.

Huraganowy ogień skierowany przez imperialistów na domy mieszkańców Nankinu miał stłumić w 1927 r. rewolucję chińską, miał „odczyścić” kulisy od myśli o lepszym życiu.

„...Jedynie ludzie, którzy zdziecin-

nieli, mogą sądzić, że prawa artylerii są silniejsze od praw historii, że można cofnąć koło historii przy pomocy strażników w Nankinie... Polityka zastraszania posiada swoje „zasadnienia” w historii imperializmu. Lecz, że polityka ta bez wartości nie osiąga celu — nie ulega chyba żadnej wątpliwości” — pisał J. Stalin.

Komunistyczna Partia Chin przeszła długą i trudną drogę 28 lat walki. Dowiodła ona swej bezgranicznej ofiarności i bohaterstwa w pierwszych szeregach 8-jej ludowo - rewolucyjnej armii i oddziałach partyzanckich w wojnie przeciwko zaborem japońskiemu. Kierowała ona, umacniała jednolity front ludowy



Sze - Lu: „Konferencje bohaterów” (współczesny chiński drzeworyt ludowy).

ogarniający szerokie masy robotników i chłopów, rzemieślników, inteligencji pracującej i postępowe warstwy drobnej i średniej burżuazji.

Sukcesy Armii ludowo - wyzwoleniejszej i wpływ komunistów były tak znaczne, że po klęsce Japonii Kuomintang został zmuszony pójść na ugodę z komunistami, ale trwał to niedługo. Reakcja chińska ruszyła znów do ataku, zdeptała umowę o jednolitym froncie i rozpoczęła wojnę domową. W wojnie wypowiedzianej ludowi chińskiemu Czang-Kai-Szek stawiał na przewagę liczebną armii kuomintangowskiej i wyższość w zaopatrzeniu technicznym, zapewnioną mu przez doktrynę Trumana w postaci amerykańskich armat, czołgów i samolotów, w postaci 6 miliardów dolarów uzyskanych tytułem pożyczki potężnego zastrzyku złota dla bankrutującego wasała chińskiego.

Amerkańscy kapitaliści uzyskali od Czang-Kai-Szeka nowe przywileje, pod ich faktyczną kontrolę przeszła gospodarka, cała polityka wewnętrzna i zagraniczna Chin kuomintangowskich.

Plany Trumana i kliki Czang-Kai-Szeka pokrzyżował naród chiński, jego partia komunistyczna, jego armia narodowo-wyzwoleniejsza.

Sprawdziły się prorocze słowa Lenina, że zwycięstwo Armii Czerwonej przeciwko białogwardystom i obecnej interwencji dowiodą narodom Wschodu, iż „jakkolwiek słabe były by te narody, jakkolwiek niezwykłą zoną wydawała by się potęga ciemnych Europejczyków, stosujących w walce wszystkie cuda techniki i sztuki wojennej — wojna rewolucyjna, którą prowadzą narody uciskane, jeżeli wojna ta potrafi rzeczywiście obudzić miliony pracujących i wyzyskiwanych, kryje w sobie takie możliwości, jakie cuda, że wyzwolenie narodów Wschodu staje się obecnie w pełni praktycznie osiągalne...” (Lenin, Dzieła t. XXIV, wyd. trzecie, str. 544).

Chiny ludowe, kierowane przez potężną partię komunistyczną, kroczą po drodze wytkniętej przez naukę Marksa — Engelsa — Lenina. Stalina, powiały walkę o wyzwolenie narodu Chin z walką przeciwko obszarnikom i kapitalistom, przeciwko reakcyjnej klicie kuomintangowskiej i ich zagranicznym mocodawcom. Przeprowadziły reformę rolną i narodowemu wielkiemu przemysłu w interesach ciemniejszego i wyzyskiwanego dotąd ludu pracującego chińskich miast i wsi.

Zapoczątkowały wyzwolenie całego kolonialnego Wschodu, oskrzydliły narody całego świata w ich walce o socjalistyczne jutro.

475 milionów Chińczyków przystąpiło do zakładania trwałych fundamentów socjalizmu.

„W ciągu 28 długich lat istnienia naszej partii dokonaliśmy tylko jednego dzieła, pisał Mao-Tse-Tung, odnieśliśmy zwycięstwo w walce rewolucyjnej. Należy ten fakt podkreślić, ponieważ jest to zwycięstwo ludu, a przy tym — zwycięstwo w tak wielkim kraju jak Chiny. Jednakże wiele jeszcze pozostaje do zdziałania. To czego dokonaliśmy w przeszłości stanowi dopiero pierwszy krok na naszej wielomilionowej drodze. Musimy jeszcze zniszczyć wroga aż do ostatka i wypełnić ogromne zadanie budownictwa gospodarczego... Partia komunistyczna Związku Radzieckiego jest naszym najlepszym nauczycielem, u którego powinniśmy się uczyć...”

Chińczycy uczą się u swych prawdziwych przyjaciół.

Braterskie stosunki łączące Chiny ze Związkiem Radzieckim i krajami demokracji ludowej, oparte są na czynach. Związek Radziecki był pierwszym państwem w świecie, które zawarło równoprawny traktat z Chinami.

Armia Radziecka rozgromiła imperialistów japońskich — najbliższego i najbardziej niebezpiecznego wroga Chin. ZSSR był pierwszym państwem, które uznało rząd Chin Ludowych, prawo narodu chińskiego do własnego suwerennego państwa i rządu.

Churchill, stary wyga imperialistyczny i podżegacz do wojny, określił powstanie Chin ludowych, jako największe nieszczęście, które nastąpiło po drugiej wojnie światowej.

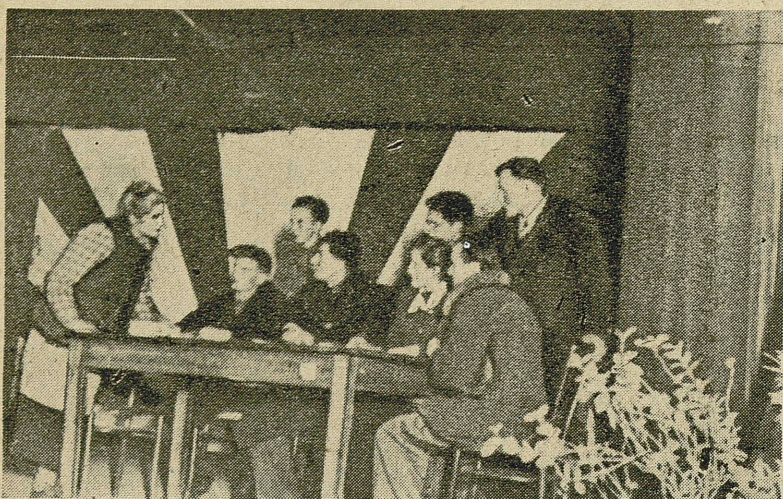
Rzeczywiście. Chiny ludowe — to wielkie nieszczęście i wyłom w kruszycach murach imperializmu. Świat kapitalistyczny kurczy się z każdym dniem; w Białym Domu, Truman zastanawia się dziś nad możliwością ocalenia kapitalizmu w jednym kraju.

Wielkie zwycięstwo ludu chińskiego — powstanie Chińskiej Republiki Ludowej — to zwiastun bliskiego wyzwolenia uciskanych ludów Wschodu, to ogromne wzmocnienie sił całego obozu socjalizmu i postępu.

Nad Chinami świeci słońce wolności.

WACŁAW SZUMSKI

*) Mao-Tse-Tung „O dyktaturze demokracji ludowej”. Zeszyty filozoficzne „Nowych Drog”, seria 2.



Zespół świetlicowy w Dąbrowie Żdńskiej gra „Matkę” Gorkiego

ANDRZEJ WERA

ŚWIETLICA — ŻYCIEM GROMADY

W czasie trwania Krajowej Konferencji Związku Samopomocy Chłopskiej w Warszawie stwierdzono, że jednym z ważniejszych osiągnięć minionego roku 1949 jest poważny wzrost sieci bibliotek oraz ich zaopatrzenie w książki.

W ciągu 1949 roku powstało we wszystkich województwach 2.533 nowych bibliotek, przy świetlicach wiejskich. Biblioteki te liczą ponad 316 tysięcy tomów. Tak więc istnieje już obecnie na wsi 4.165 bibliotek posiadających łącznie blisko 455 tysięcy tomów. Z bibliotek tych korzystają masowo chłopcy i dziewczynki. Szczególną poczytnością cieszą się utwory pisarzy radzieckich oraz wydania książek z zakresu rolnictwa i jego strony fachowej.

Tak mniej więcej w telegraficznym skrócie cyfrowym przedstawia się sytuacja na odcinku rozwoju bibliotek we wsiach naszego kraju. Przyjrzyjmy się teraz temu samemu zagadnieniu na terenie województwa łódzkiego. Przy 345 świetlicach powstałych do chwili obecnej (w roku ubiegłym było ich zarejestrowanych przy ZSCh około 100) zarejestrowano 121 bibliotek. Trudno jest tu opierać się na danych o dośrodkach książek znajdujących się w wymienionych 121 bibliotekach. Z każdym bowiem tygodniem, ba z każdym dniem ilość książek stale się zwiększa. Równocześnie rozwija się czytelnictwo. Obecnie znowu przybyło województwu łódzkiemu kilkanaście nowych bibliotek. Otrzymaliśmy je zespoły świetlicowe w nagrodę za udział w Festiwalu Sztuki i Pieśni Radzieckich. Na podstawie niekompletnych danych (inventaryzacja bibliotek nie wszędzie jeszcze została przeprowadzona) możemy stwierdzić, że przeciętnie każda biblioteka posiada ponad 100 tomów. Są to książki dobierane, przeważnie pochodzące z bibliotek organizowanych dla wsi przez TPPR oraz ZSCh.

Istnieje jednak na terenie województwa łódzkiego biblioteki świetlicowe, wyróżniające się bogactwem posiadanych księgozbiorów, jak również sposobem organizowania czytelnictwa.

W Hucie Dłutowskiej powiatu łaskiego biblioteka liczy 1500 książek, w Gorzkowicach — 1000 książek. Pod względem organizacji czytelnictwa w bibliotekach, przoduje Małków w powiecie sieradzkim. Jest to bezwzględnie zasługą młodzieży wiejskiej uczęszczającej do Uniwersytetu Ludowego, która właśnie pracą zespołową potrafiła przyciągnąć do świetlicy ogół mieszkańców wspomnianej gromady.

Oprócz kwalifikowanego bibliotekarza, który zajmuje się propagowaniem, wydawaniem książek i rejestrowaniem ich w kartach czytelników, młodzież pełni dyżury, dopilnowując by w czytelni panowała cisza, aby książki nie były niszczone itp. Ta sama młodzież postarała się o wywieszenie hasel, wywijających

do rozpowszechniania czytelnictwa i szanowania książek.

Że właśnie książka ma wpływ na kształtowanie się życia świetlicowego potwierdzają i inne przykłady ze wsi województwa łódzkiego. Weźmy gromadę Jasionną z powiatu sieradzkiego. Biedna, zniszczona na skutek utworzenia przez okupanta poligonu wieś. Borykanie się z twardym życiem, ciężki dorobek, zacinanie go gospodarki od nowa. I w tym twardym dorobku dociera nagle na zapadłą wieś biblioteka Samopomocy Chłopskiej. Zaczyna młodzież czytać książki, przynosi je do domów, by przy świetle kopcejącej naftowej lampki, poczytać i na głos wszystkim domownikom. Książki są ciekawe, budzą zainteresowanie wśród starszych a nawet najstarszych ze wsi. I kiedy otwarta została świetlica, nawiasem wspominając, budowana wysiłkiem wszystkich mieszkańców wsi, schodzą się do niej wszyscy, by wspólnie poczytać. Książki w końcu wszystkie są znane. Na nowe nie stać. I wtedy zrodziła się w Jasionnej „wielka koncepcja” — wszyscy mieszkańcy gromady członkami świetlicy. — Zrobiono samorządnie własne legitymacje, ustalono składki członkowskie w wysokości 15 złotych miesięcznie. To dało pokątną sumkę, za którą kupiono nowe książki. Ale nie chodzi o same książki. Tu już mamy dowód pracy kolektywnej nad rozwojem świetlicy, pracy całej wioski nad jej jakością. Chłopi z młodzieżą czytali wspólnie, dyskutowali, wybierali książki najlepsze. Z satysfakcją patrzyli na zespół artystyczny z Jasionnej biorący udział w eliminacjach na Festiwalu Pieśni i Sztuki Radzieckiej. Zespół ten doświadczył doświadczeń wojewódzkich i tego sukcesu niejedną młodzież województwa łódzkiego jasionnańską zadroszczyła. Zespół artystyczny liczący ponad 60 osób wystawiał montaż sceniczny zatytułowany „Przyjaźń”, odtwarzający walkę żołnierza polskiego u boku żołnierza radzieckiego o wyzwolenie wsi. W montażu wzięła udział cała gromada, przy czym najmłodszy aktor liczył 4 lata, najstarszy 64 lat. Za udział w eliminacjach wojewódzkich świetlica w Jasionnej otrzymała biblioteczkę ZSCh liczącą 76 książek.

Zwrot w pracy świetlic nastąpił właśnie w okresie festiwalu. Świetlice, które oparły się na kolektywnej pracy, poszukiwały nowego repertuaru i nadal go szukają, wybiły się, realizując jednocześnie postulat jakości w swej pracy. Już nie wyłącznie „Wesele Jagny”, ale nowe utwory, nowe inscenizacje wybierane z otrzymywanych bibliotek TPPR-u stają się podstawą rozwoju już 75 zespołów artystycznych istniejących i pracujących świetlic. I wydaje mi się, że jeżeli świetlice woj. łódzkiego nadal pójdą tą drogą, jakości ruchu świetlicowego nie będzie już budzić zastrzeżeń.

A. Wera

NOWIŃSKI MARIAN

W ROZMOWIE ZE ZNAJOMYM

Przed kilkoma dniami spotkałem się z dobrze mi znajomym K. Lubańskim w m. Olsztynie.

Ruszyliśmy w kierunku Starego rynku Warszawskiego. Dowiedziałem się od mojego znajomego jeszcze dużo. Ile rodzin w Walinowie było, ile weseł, zabaw itp. Zdawało mi się, że oprócz kilku weseł, urodzin, zabaw i uzdrowienia stosunków w spółdzielni nie poważniejszego w Walinowie nie było. I byłoby się na tym skończyło, gdyby nie gazety leżące na sąsiednim stoliku. Mój znajomy przyniósł K. Lubański bierze „Życie Olsztyńskie” i wpatruje się w jego szpalty. Zdziwiło mnie to bardzo. Dlaczego się tam wpatruje, przecież obrazków nie ma, a do mojego odjazdu z Walinowa Lubański był analfabeta. Ciekawość nie dała mi jednak spokoju — zapytałem.

— To ty jeszcze nie wiesz, że obecnie jest walka z analfabetyzmem. Przecież w Walinowie nie tylko ja jeden, ale i inni też się nauczyli tej sztuki. A w dalszym ciągu kurs jest i ja chodzę. Trochę wstyd, że z dziećmi trzeba się uczyć, ale trudno. Wstyd, wstydem, ale przyjemnie jest wieczorem wziąć gazetę do ręki i poczytać. Przychodzi do mnie „Chłopska Droga” i „Gromada”. Ci co się wstydzieli chodzić, to jak byli stup-

kami, tak dalej nimi są i jak w gminie krzyżami podpisawali się tak dalej to robią. Taki Kopec, Wronski, Kuźma, Sołdek i inni to ani sobie nie dali mówić, żeby chodzić na kurs. Przychodzi do nich nauczyciel i z powiatu przyjeżdżali, wszystko na nic. Nie wiem czy teraz będą chcieli, choć w gminie nad nimi radzili. Jak cała gmina o nich mówi to większy wstyd, niż chodzić z dziećmi do szkoły, gdzie się można czegoś nauczyć.

Przez 5 miesięcy nauczyłem się czytać i pisać, choć to ostatnie ciężko idzie, ale będę się starał podciągnąć. Rozmawialiśmy jeszcze jakiś czas. Z rozmowy tej utkwiło mi to, że na 47 analfabetów w Walinowie po 5 miesiącach — 29 już czyta gazety. Wniosek z tego taki, że o wielkich, historycznych sprawach i wydarzeniach mówi się teraz na wsi przy każdym spotkaniu. Mówię historycznych, bo dzisiejszy Lubański, to nie ten z przed 5 miesięcy. Z obecnym Lubańskim można budować socjalizm. Kiedy wszyscy analfabeci, będą tak podchodzić do tej sprawy jak Lubański, to jest pewne, że spójnie sanacyjną i pokapitałistyczną szybko wycyżymy z naszego życia, a ciążą ona poważnie na naszej pracy i hamuje ją.

Marian Nowiński

IZABELA CIAPALANKA

O NOWEGO BIBLIOTEKARZA

Zagadnienie kształcenia nowych sił bibliotekarskich jest często poruszane (może dość pobieżnie), w artykułach takich tygodników społeczno-literackich jak „Kuźnica” czy „Wies”.

A. Wasilewski w pierwszym numerze „Wsi” br. w swym artykule „Rok kulturalny 1949” pisze: „działalność KUK-u jak i realizacja ustawy bibliotecznej umożliwiły przeprowadzenie planu rozbudowy bibliotek gminnych i powiatowych. Trzy lata planowej pracy wokół rozbudowy bibliotek powszechnych przyniosły parokrotny wzrost zbiorów (jedna książka na 8 mieszkańców wsi i jedna książka na 4 mieszkańców miasta). I tu zaznacza się ujemnie brak odpowiednich kadr bibliotekarskich. Zaopatrzone w wyczerpujący zbiór wartościowych książek biblioteki często nie wykorzystywane z braku personelu kierowniczego”. Nowych bibliotekarzy — oświatowców nie tylko brak na wsi ale i w mieście. Oto jak ocenia rolę biblioteki i bibliotekarza H. Radlińska w swej „Książce wśród ludzi”: „Rola biblioteki publicznej we współczesnej organizacji czytelnictwa przekracza znacznie samą tylko funkcję dostarczania książek. Biblioteka jest źródłem wiedzy o książce. Bibliotekarz staje się przewodnikiem i wychowawcą o innym typie pracy, niż nauczyciel. Bez niego księgozbiór byłby martwy, nie byłby biblioteką. Zadaniem bibliotekarza jest nauczyć czytać naprawdę, tj. korzystać z książek i stosować zdobycze książkowe w życiu. Równocześnie ma uczyć czytelników obchodzenia się z książką, jako przedmiotem”.

Z tych to względów, musimy doceniać rolę bibliotekarza w rozpo-

zeczaniu książki i wmożeniu czytelnictwa. Praca i rezultaty w tej dziedzinie zależą przede wszystkim od należytego wykształcenia bibliotekarza, jego postawy, aktywności, siły oddziaływania na czytelnika.

Bibliotekarz-oświatowiec winien pamiętać o tym, że „książka-narzędzie musi być używana, żeby swą rolę spełnić”. Książka — narzędzie była rzadko używana dlatego, bo była niedostępna dla szerokiego mas ludowych, a według wyżej wspomnianej Radlińskiej „biada skarbowi, które tylko szczepie garstce są drogie”.

Abym skarby te (myślę o książkach) stały się dostępne dla wszystkich, musi się je umiejętnie czytelnikowi podać. W dużej mierze zainteresowanie książką szerokiego ogółu zależy od rozwiniętej działalności bibliotekarza. Trzeba raz na zawsze skończyć z tym automatycznym sposobem pracy, ograniczającej się do wydawania i przyjmowania książek! Czytelnik o głęboko przeżytych książkach pragnie rozmawiać, dzielić się swymi spostrzeżeniami. Z największą pomocą w nierozwiązanych i trudnych zagadnieniach przyjdzie mu doświadczony bibliotekarz rozświetlający te problemy. Możemy bez ryzyka powiedzieć, że bibliotekarz to pomost łączący autora z czytelnikiem, jest on także przewodnikiem początkującego i niewyrobionego kandydata na czytelnika. Nie możemy zapominać o tym, że w obecnej dobie szczególnie pieczołowita opieka należy odczytać dwie grupy czytelników, tj. starszych, którzy obecnie posiadli umiejętność czytania i pisanie oraz młodzież. Tym grupom można ułatwić należyta korzyść z przeczytanej książki, przez jej zreferowanie, organizowanie dyskusji czy

żywych recenzji. Dążyć by one mogły do wymiany spostrzeżeń, co jest bardzo ważnym czynnikiem w zrozumieniu książki. Po takich dyskusjach skierowanych na właściwą torę, nie zachodziłaby obawa powrotu do bezwartościowych powieści Rodziwionowa, Mniszkówny czy Zarzyckiej i im podobnym.

Bibliotekarz może wygłosić referat oceniający „twórczość tych wielkich literatów” w takim świetle, aby czytelnik nie tracił czasu na czytanie omych „arcydzieł literatury”. Unikniemy również tego niezdrowego „politykanizmu” (przeważnie bezwartościowych) po którym nie następuje żadna refleksja.

Takie powieści jak „Młoda Gwardia” A. Padijewa, „Przyszłość należy do nich” L. Leontiewa, „Poemat pedagogiczny” A. Makarenki, zdobyły sobie tyle uznania wśród młodzieży, że często słyszy się podobne wypowiedzi: „radziecka powieść dla nas to prawda, a nie bajka jak nas karmiono. Zachwycaliśmy się przegadami fikcyjnymi, wyimaginowanymi bohaterami, dziś zachwycamy i uczymy się walki od Koszewców, pracy od Łapoców, Zadorowów, nauki od Batanowów”.

Ta część młodzieży tak oceniającej książki oddziaływuje ze skutkiem na „politykaczy”.

Pisząc o takiej działalności bibliotekarza mam na myśli biblioteki gminne, fabryczne, związkowe, szkol-

ne. O ruchomych bibliotekach L. Młot. w 50 nr „Wsi” z 1949 r. pisze: „Spotykam się z twierdzeniem, że ruchome biblioteki przynoszą wsi nieocenione korzyści, koniecznym jest jednak, by bibliotekarz znał książki, które wypożycza, umiał je streścić, potrafił wytypować najważniejsze problemy. Równocześnie powinien wyczuć w początkującym czytelniku jego zainteresowania, nie schlebiać im jeśli są złe, pogłębiać kiedy zmierzają w dobrym kierunku. Nieodpowiednia książka dana początkującemu czytelnikowi, zraża go i odstrasza od dalszego czytania. Myślę, że powinny być wprowadzone celem popularyzacji dobrej książki, konkursy z nagrodami dla najlepszych czytelników”.

Uwagi te, moim zdaniem nie powinny odnosić się tylko do bibliotek ruchomych ale do tych także, które wyżej wymieniałam.

To ciężkie i bardzo ważne zadanie wykształcenia kadr bibliotekarzy o nowym podejściu do czytelnika podjęło Liceum Bibliotekarsko-Księgarskie w Krakowie (aż smutno stwierdzić — jedynie w Polsce).

Mamy nadzieję, że ci nowi nie będą przypominali nam starych „młodych” „młodych”. Potrzebni są nam oświatowcy, działacze społeczni, których zadaniem będzie propagowanie książki i prasy tych tak doniosłych czynników wychowawczych.

IZABELA CIAPALANKA



Kronika kulturalna

W ubiegłym tygodniu ogłoszone zostały wyniki konkursu na najlepszy przekład sztuki zgłoszonej na Festiwal Sztuk Radzieckich i Rosyjskich.

Po zapoznaniu się z ogółem 47 przekładami, Jury konkursu doszło do wniosku, że żadna z przedłożonych prac nie kwalifikuje się do pierwszej nagrody.

Nagrodę drugą w wysokości 150.000 zł. postanowiono przyznać J. Jędrzejewiczowi za przekład „Burzy” Ostrowskiego.

Trzy nagrody trzecie po sto tysięcy każda otrzymali: Cz. Jastrzębiec-Kozłowski za przekład sztuki „Wilki i Owce” Ostrowskiego, S. Polak za przekład dramatów Puszkina i A. Maliszewski za przekład sztuki „Ojciec Debiutanki” A. Bondy. Poza tym wyróżniono przekłady A. Lau-Gniadowskiej „Pieśń Koguty” Bałtuszisza, B. Korzeniowskiego „Śmierć Tarekina” — Suchowa Kobylina, oraz J. Brzozy i A. Baumgardena („Makar Dubrawa” Korniejewskaja).

Najbardziej palącą bolączką naszych szkół i uczelni jest nadal brak odpowiednich podręczników naukowych. Szczególnie niekorzystnie przedstawia się sytuacja ta w dziedzinie historii literatury polskiej, gdzie ciągle brakuje pokutującej stare przekazy burżuazyjno — dekadentki ideologii.

Jednym z czołowych zadań Państwowego Instytutu Badań Literackich jest właśnie opracowanie odpowiednich podręczników naukowych z dziedziny historii literatury, podręczników, które rewidują dotychczas rozpowszechnione fałszywe pojęcia i teorie, podręczników opartych na marksistowskim światopoglądzie.

Już niebawem ukaże się opracowany przez Instytut pierwszy tom Historii Literatury Polskiej, obejmujący okres do końca XVIII wieku. Prace nad przygotowaniem 2 dalszych tomów historii literatury polskiej są w toku. Wspomniana wyżej praca jest przeznaczona dla szkół średnich. Poza tym Instytut Badań Literackich prowadzi już prace przygotowawcze nad opracowaniem uniwersyteckiego podręcznika historii literatury. Przygotowania te obejmują szereg prac z zakresu bibliografii i badań nad językiem.

Staraniem Instytutu Badań Literackich, którego dyrektorem jest znany krytyk prof. Stefan Żółkiewski — ukazało się dotychczas kilkanaście publikacji, przeważnie skomentowanych wydań klasyków.

Medzy innymi wydano obszerną antologię literatury pozytywistycznej, pracę o pobycie Mickiewicza w Rosji itd.

Szczególnie interesująco zapowiadają się dwa znajdujące się już w druku tomy studiów o pisarzach i kulturze drugiej połowy dziewiętnastego wieku. Studia te rewidują dotychczasową wiedzę o tej epoce, oświetlają ją z marksistowskiego

punktu widzenia i zawierają niezwykle cenne, często wręcz rewelacyjne materiały.

W końcu lutego przybył do Warszawy na dłuższy pobyt w ramach wymiany kulturalnej, jeden z najwybitniejszych poetów węgierskich najmłodszego pokolenia — Juliusz Toth (ur. 1926).

Juliusz Toth, jest synem malarzowskiego chłopca z okolic Szerencs, poetą, któremu dopiero zwycięstwo obozu postępu umożliwiło awans społeczny i pracę twórczą. Już pierwsze wiersze młodego rewolucjonisty, drukowane w czołowych czasopiśmie literackich „Csillag” i „Valóság” zwróciły powszechną uwagę niezwykle piękną formą i głęboką treścią społeczną. Wiersze Totha były drukowane w czasopiśmie radzieckich („Ogoniok”), „Literaturnaja Gazieta”, czechosłowackich („Rude Pravo”) i postepowej prasie amerykańskiej.

W czasie swego dotychczasowego pobytu w Polsce, Toth napisał już szereg wierszy i szkiców prozą, poświęconych Warszawie i jej odbudowie.

(Wys.)

W NUMERZE 10 (241)

TYGODNIKA „WIEŚ”

z dnia 12 marca 1950 roku

Franciszek Grabowski — Rewolucja kulturalna na wsi
Stefan Treugutt — Nowy typ prasy
Mikołaj Grybacow — Wiosna w kolchozie „Pobieda”
Józef Bieniek — Pierwszy krok
Elżbieta Brodzianka — O popularną recenzję
— Marks o pracy fizycznej i umysłowej w społeczeństwie kapitalistycznym (tłum. K. S.)
Witold Wirpsza — Pięć lat
Marian Niewiarowski — Historia jednego życia
Kazimierz Dziwowski — Planowanie terenowe
Lucjan Rudnicki — „Za granicą” (wys) — Pisma Stalina — Kronika Radziecka
Stanisław Mędelski — Obrona Rewolucji
Wanda Osińska — Szkutka z malachitu
Jacek Trznadel — Powieść o Stendhalu
Stanisław Wyka — Trzeba lepiej znać nową drogę
Tadeusz Papier — Przyjmuję wezwanie do czujności
J. B. — Szkoła wzorem i organizatorem
E. Piażewski — „Nasze zwycięstwo” 16 ilustracji, 8 stron.

KSIAŻKI NADESŁANE

„Czyteńnik” — Fiolki przyniosły nieszczerze str. 139.
14. Seweryn Polak — wiersze: O Stalinie str. 71.
15. Eliza Triolet — Kochankowie z Avignonu str. 370.
16. „Czyteńnik” — Almanach Chłopski str. 184.



nym zebrań Zw. Sam. Chłop. i Str. Ludowego, sołtys ob. Gruk i członek Kom. Rodz. ob. Czubak Stanisław poddali myśl, aby upamiętnić Zjed. Stronnictwo Ludowych — a najlepszą, a równocześnie najbardziej potrzebną, jest tu szkoła.

„Postawmy szkołę” — zawyro-

kował sołtys, a inni go poparli.

Od uchwały szybko przeszli do czynu. Opodatkowali się z hekta-

Istotnie te 80 ha łąk położonych poza wsią, dziś nie przynosi prawie żadnych korzyści, trzeba bowiem kosić w wodzie, w wodzie zbierać trawę o niewielkiej wartości.

Ludzie tutejsi, pełni zapału, z zadowoleniem obserwują przemianę, jakie dokonywały się i dokonują w ich oczach, biorą w nich sami żywy udział i brać będą coraz żywszy. MARIAN WILCZYŃSKI

Redaktor naczelny — JAN ALEKSANDER KRÓL

Redaguje Komitet.

Adres Administracji: Warszawa, ul. Wiejska Nr. 12 Adres Redakcji: Warszawa, ul. Starynkiewicza Nr. 7.

Tel. Red. Nacz. 812-71. Tel. Redakcji 8-00 61 do 6 wewnątrz 23 i 76. Wyd.: SPÓŁDZIELNIA WYDAWN. - OSW. „C Z Y T E Ń I K”

REDAKCJA NIE ZAMOWIONYCH REKOPISÓW NIE ZWRACA.

Adres Prenumeraty i Ogłoszeń — Warszawa — Plac Trzech Krzyży 16

Warunki prenumeraty:

miesięcznie 80,— zł; kwartalnie 240,— zł; półrocznie 480,— zł; rocznie 960,— zł. Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO Warszawa I—6841 z zaznaczeniem „za tyg. „Wies”

Drukarnia nr 2 Spółd. Wyd.-Ośw. „Czyteńnik” Marszałkowska 3/5

B-101967